



ROMANS NA WSI

AT THE AMERICAN

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

ROMANS NA WSI

POWIEŚĆ

WYDANIE DRUGIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

LPI 4d

747326

T

K-88/4311



1.09.88

430

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.
1928

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Noc.

Oparłem się o chropowaty pień jakiegoś drzewa — i słucham.

Z zachodu wieje ciepły wiatr. Odpowiadają mu szmery, szepty i szумы...

Powietrze jest dziwnie rzeźwe, niespokojne...

Gdzieś, w mroku, blisko — nieomal u moich nóg — sączą się ze wzgórza niewidzialne strumyki...

Obcy ptak, którego nie było słyszeć jeszcze wczoraj, ćwierka triumfalnie nad moim uchem. Nie widać go naturalnie w ciemności, ale czuję, że siedzi tuż, tuż.

Od młyna, od grobli, dolatuje niezwykle pogłos: ni to huk, ni to trzask.

— Pękają lody!

Pękają lody! Z rowów, przegonów, ze strug,

wpadają od kilku dni do naszego jeziora istne potopy do wody. Jezioro wzbiera i podnosi gwałtownie zimową skorupę. Pojutrze — jutro może — krucha powłoka zsinieje na głębi; a za trzy dni — no, niechby za cztery — wyzwolone, radosne fale zaczną tańczyć dookoła wysp, gdzie najbystrzejszy prąd!

Pękają lody! — Jak to wspaniale brzmi... Nieprawdaż? — Patetycznie! Bohatersko! Groźnie!

Zaraz się z tem kojarzy wizja niebezpieczeństwa... Zerwana grobla... Most... Dzwony... Konie w spienionej głębi...

Nie. U nas to się odbywa zupełnie niedramatycznie. Niema siły, któraby zdołała poruszyć naszą groblę, scementowaną korzeniami dwóchsetletnich topoli. I mostu niema, któryby mógł zapaść się z ogłuszającym trzaskiem...

Tutejszy mostek, zbudowany z klekocących, sosnowych balików, rozlatuje się przecież od wielu lat: — Komu to właściwie szkodzi? — Zbyt łatwo go naprawić. Runąć niema dokąd: dół, w którym nie tak dawno rybak łapał węgorza, nie jest zbyt głęboki. Zresztą, jeśli nawet jakieś drewno popłynie sobie z wodą, znajdziemy je poniżej, o kilkaset kroków, albo trochę dalej, na łąkach...

Konie się nie spłoszą: codziennie tędy chodzą.
A dzwony? Zadzwonią dopiero w niedzielę.
Wcześniej chyba nie, bo któżby chciał umierać na wiosnę.

Wiosna!

I cóż z tego, że nie obsuwa się nam na głowy
z grzmiotem potężnej lawiny?

Czy nie jest równie piękna, jak gdzie indziej?
A jaka wczesna! Toż to dopiero pierwszy marca!
Będzie raj dla szczupaków: idealna pora tarła;
Dalibóg, odstanowimy w tym roku najupartsze
klacze! Blue Boy już awanturuje się w stajni, tak
mu pilno kochać... Dwulatek Emir, młodociana
chluba i nadzieja naszej stadniny, także miota się
po boksie, choć właściwie nie wie, czego mu po-
trzeba... — Głupi!

— A na polu! Na polu!

Oziminy zdawały się takie martwe, ścięte mro-
zem, zaduszone przez śniegi... Patrzcie! Ziemia
poweselała nagle — i dyszy! Ogromne szlaki ży-
ta zazieleniły się iście kwietniową barwą. Wy-
sznurowały dwurzędy pszenicy: ot, jak je znać!
Jak na dłoni! Mimo późnego siewu.

Niezorane kartofliska, ugory, wołają o pług.

Głębokie, zimowe orki, opily się słodką wodą,
jak winem!

Rola pęcznieje, pąki drzew pęcznieją. Człowiek także naciąga sokami, solami, powietrzem! Pęcznieje świat!

I pomyśleć, że to wszystko sprawiło — słońce! Wiosna.

Słucham, oparty o pień jakiegoś drzewa...

Jakże niespokojna jest dzisiejsza noc: — Powietrze gra. — — —

II.

Ranek. Jedenaście stopni Reaumur'a na słońcu. Drugiego marca: — Niestychane! W domu naszym otwarto wszystkie lufciki. Przeciągi, aż miło! Okien nie otwierają jeszcze, bo to żmudna procedura: odrywać jakieś tam wałki z waty, coś tam skrobać, myć, wycierać. Zresztą, powiadają, że jeszcze zawcześnie, bo mogą przyjść mrozy...

Paradna jest ta służba! — Mrozy? Teraz? — Niedowiarki! Ludzie małego serca! Tchórze!

Nie prowadziłem nigdy badań meteorologicznych; czuję wstręt do wszelkich przepowiedni. Tak zwane „zjawiska atmosferyczne“ są dla mnie zawsze niespodziankami. Ujmowanie tego w schemat uważam za rzecz równie ohydną, jak czarną ospę... Odnosne rubryki w gazetach redagują zapewne paranoicy, albo, poprostu, idjoci!

„Niż barometryczny“... „Wyż barometryczny“...?

Chcą uwięzić w kilku terminach cudowne, oszałamiające zjawiska przyrody! W terminach, które, w dodatku, nic nie mówią. No, przecież i śliczny fiołek alpejski ma botaniczny termin: Gduła.

— Gduła! — Jak to się państwu podoba?

Mam wrażenie, że po całym świecie, w zatęchłych biurach, czy kancelariach, tkwią sobie takie gduły, które piszą: „...Z powodu niżu barometrycznego, ogarniającego kraje Skandynawji i środkową Europę” — albo: „...niskie ciśnienie, notowane...” etc., etc.

Piszą to tak samo, jakby pisali: Lilpop 0.70, Rudzki 1.20, Zieleniewski 9.80...

— Już wiem! To piszą jedni i ci sami ludzie, na pewno!

Co im do tego, że niebo zbłękitniało, że chimury płyną, jak zbuntowane, białe żaglowce, że ptactwo wędrowne oszałało i ciągnie hen, daleko?...

Notują kursy giełdy i kursy pogody. Zawsze poniewczasie! Przewidują czasem, ale im się nigdy nic nie sprawdza...

— Pomyślcie! Skończyć (chlubnie) szkołę realną i technikę, albo gimnazjum i uniwersytet — aplikować, czy tam asystować — ożenić się, zo-

stać ojcem, wyłysieć, spaskudnieć z nadmiernej mądrości — i nie móc przepowiedzieć jednej odwilży!

Albo: rachować, machlować, szachrować, harować, zgrzytać zębami, brać wszelkie możliwe i niemożliwe przedstawicielstwa, wyjeżdżać do Berlina, do Gdańska — sięgać raz-po-raz do mieszka — dobrze, jeżeli własnego! — i kupić sobie wreszcie tego Lilpopa, Rudzkiego, czy Zieleniewskiego — poto, żeby się dowiedzieć naza-jutrz, że należało właśnie kupić Borkowskiego!

(Ciekawym, jak oni wyglądają? — Lilpop zgrabny, szczupły... Rudzki wysoki, dwa metry bez paru centymetrów... Zieleniewski zielonkawy, w anglezie... Borkowski pocziwy szlagon, zdałby się Karlsbad...)

— Przytem usłyszeć od swojego lekarza, że serce... niebardzo... wątroba... hm... także niebardzo...

I zrozumieć nareszcie, w jakimś niespodzianem sam-na-sam ze sobą, w jakimś tragicznem streszczeniu, czy skrócie:

— Przecież żona dlatego porzuciła cię, głupcze, że już od miesiąca na świecie wiosna, a ty o tem nie wiedziałeś...

Mam sąsiada, pana Gnoińskiego. (Nie z tych

większych Gnoińskich, tylko z tych średnich).
Mój sąsiad jest zawołanym rolnikiem. Gospodaruje, jak nikt. Pamięta... nie wiem już, ile lat.

Raz zasadził buraki za wcześnie, kiedy indziej za późno...

Czy zauważył kiedy przelot żórawi? Nie, nie zauważył. Spał, bo to musiało wypaść nocą...

A szkoda. Warto było nie spać...

Nie, co tam. Przyjdą mrozy, czy nie przyjdą — jutro otwieramy okna!

III.

Kiedy człowiek czegoś bardzo chce, to zawsze dopnie celu.

(Gutenberg... Krzysztof Kolumb... Napoleon... Foch...).

Otworzono dziś okna, chociaż sprzeciwiała się temu moja żona, matka mojej żony, Marychna, panna Drouet, pokojówka i kucharka. Poparł mnie tylko Feliks, służący, ale on zawsze trzyma z mniejszościami. (Litwin).

Zresztą i Feliks jest święcie przekonany, że będziemy jeszcze marzli.

Prawdę powiedziawszy, już dziś zmarzliśmy porządnie, bo, jak na złość, znacznie się ochłodziło.

Miałem nawet na ten temat małą sprzeczkę z żoną.

— Jesteś bardzo uparty, Stasiu.

— Nie, dziecko, nie jestem uparty, tylko uwa-

zam, że wypada pójść „na spotkanie” wiosny. Nie jesteśmy przecież z waty!

— Właśnie, a propos tej waty. Wy, mężczyźni nie macie pojęcia. —

— Mamy.

— Przerywasz mi, a nie wiesz nawet, co chciałam ci powiedzieć.

— Wiem, kochanie. Zresztą, nie wiem. O cóż chodzi?

— Chodzi o to, że wtrącając się do naszych kobiecych, czysto gospodarczych spraw, wytwarzacie w domu zamęt, który my później musimy likwidować...

— Zamęt?

— Tak, Stasiu. Jesteście szalonymi egoistami — o, proszę cię, nie zaprzeczaj! — tak, egoistami. Wydaje się wam, że nasze gospodarstwo kobiece jest rzeczą łatwą i nic nieznaczącą... Na przykład: w zeszłym tygodniu. Byli Dąbrowscy. Kazałam podać zwyczajne kieliszki do wina. Tymczasem ni stąd, ni zowąd, przyszła ci fantazja i mówisz: „Feliksie, dajcie-no te baccaraty”. Przy stole!

— No, tak, kochanie. I podano baccaraty. Zupełnie inaczej smakowało nam to wino!

— Wierzę. Ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, że narobiłeś mi tem szalonego kłopotu?

— Nie, nie zdaję...

— A otóż właśnie! Wy sobie nigdy z takich rzeczy —

— Proszę, nie uogólniaj. — Więc?

— Nie: „więc“, tylko racz dosłuchać!

— Słucham.

— Takich kosztownych krzysztalów nie trzymam w podręcznym kredensie, boby je twój faworyt Feliks w dwa tygodnie wytłukł. Są w szafie, w garderobie. A klucze od tej szafy ma Andzia.

— Nie wiedziałem.

— A widzisz! Nadomiar złego, Andzi wtedy nie było, bo pobiegła na folwark po śmietankę, więc musiałam prosić pocziwą pannę Drouet, żeby szukała pokojowej...

— Ostatecznie, mógł był skoczyć Feliks.

— Feliks wtedy podawał do stołu, a zresztą, gdyby on był „skoczył“, mielibyśmy te baccary ty nie do obiadu, tylko na kolację!

— Hm...

Pociski, godzące w Feliksa, są pośrednio wycelowane we mnie. Wiem o tem. Jeżeli bowiem my, mężczyźni, celujemy w „szalonym egoizmie“,

odznaczają się kobiety przedziwnym darem strzelania (i trafiania!) — rikoszetami. Formuła ballistyczna: „Ze Lwowa do Wilna przez Kołomyję“.

Narazie więc dałem za wygraną. Zostałem „ugodzony“, ale pragnąłem zgody.

Weszła do pokoju Marychna i zaczęliśmy rozmawiać o czym innym.

.

Zauważyłem, że żona moja nie lubi, gdy rozmawiam zbyt długo z Marychną, albo z panną Drouet. Matka mojej żony ma o tem, oczywiście, swoje własne, wyrobione zdanie. Domyślam się, jakie. Feliks...

Paskudnie dziś na świecie. Ptactwo tłukło się cały dzień w pobliżu budynków: dym z komina snuje się po spłowiałym, zeszłorocznym trawniku; chmurska wloką się nisko, jak w listopadzie...

Wieczereje.

Termometr wskazuje tylko dwa stopnie powyżej zera.

Żona do mnie.

— A nie mówiłam?

IV.

— To jeszcze nie wiosna, to dopiero przedwiośnie...

Mylą się, mylą się wszyscy. Ja wiem lepiej od nich! Chociaż, doprawdy, chwilami pasja mnie porywa: — Popołudniu padał śnieg!

Przyszedł rządcą, pan Napiórkowski. Powiadam:

— Panie Napiórkowski, niech pan naciśnie kowala o te skibowce. Lada dzień pójdziemy orać, a założyłbym się, że bestja nie wziął jeszcze ze śpichrza nowych lemieszy.

Pan Napiórkowski pokiwał głową:

— Proszę dziedzica, mnie się zdaje, że będziemy jeszcze jeździli sanna...

Zwymyślałem go. Niejednokrotnie trzeba osiwieć na roli, żeby czuć pogodę! Zresztą marzec, jak byk!

Bardzo późna wiosna tego roku. To prawda. Tem większa racja, żeby zawczasu szykować się

do robót, które na nas czekają. Ładniebym wyglądał z tym filozofem Napiórkowskim, gdybym tak powolutku... pomaleńku... Napiórkowski, to urodzony kunktator. I śledziennik. Myślę, że jego protoplaści zamieszkiwali Grenlandję. Z takim temperamentem trzebaby jarzyny siać w czerwcu, a sprzątać w listopadzie!

Zawsze to samo. W zeszłym roku:

— Panie Napiórkowski. Jak tam wiązalka?

— Robi się, panie dziedzicu.

— Czy się aby na czas zrobi? Jęczmień nie dziś, to jutro, dojdzie.

— Gdzie on tam dojdzie... Ledwo się zapala. Ma czas.

W dwa dni później panika. Spadł deszcz, uderzyło słońce. Jęczmień na lżejszym szlaku, jakby go kto poblichował. Gotów, i już!—Żniwiarka—wiązalka? — Niegotowa, naturalnie! — Idę w podwórze.

Przed kuźnią sterczy Napiórkowski — filozof, a pod maszyną leży na grzbiecie Kowalski, nasz kowal — mechanik, także filozof... Majstruje, przykręca, odkręca, coraz to rugnie chłopaka — pomocnika i wzdycha:

— A to dopiero, choroba, nie chce wziąć!...

Siada potem Kowalski okrakiem na dyszlu wią-

załki i maca kluczem francuskim, prawdę mówiąc, poomacku:

— Zagadka...

Pietrek wali konno do miasta po dwie śrubki: F. 872 i B. Z. 190 — i wraca dopiero pod wieczór.

— Nie mają, proszę jaśnie pana, takich śrubek w Syndykacie — obwieszcza prawie z triumfem.

Oczywiście, idzie już nazajutrz wiązałka i bez tych śrubek, bo nasz wiejski mechanik to do siebie ma, że jak koniecznie potrzeba, to Mack-Cormick'a, Deeringa i wszystkich Ventzkich za pas zatknie...

Ale dzień się zawsze zmarnowało, i kilkanaście metrów ziarna na polu zostanie...

Takim jest pan Napiórkowski, człek pocziwości. Niema na to żadnej rady...

.
Podobno żyto staniało. Zato kartofle sprzedają na wagę złota; ja mam, naturalnie, sporo żyta, ale kartofli nie starczy — i to grubo nie starczy!

Napiórkowski powiada:

— Dwa wagony.

Daj Boże, żeby się skończyło na czterech!

Już, jak pech, to pech!

Niech diabli porwą Napiórkowskiego, ekonoma, włódcy, całe nasze gospodarstwo! Co za straszny kraj, ta Polska! Wieje, pada, marznie, obsycha, taje, znowu marznie — i tak wkółko!

Na co się zdało kończyć literaturę i agronomję? Po jakiego kulawego czarta kolace się tam gdzieś w człowieku tęsknota za słońcem i strzęp łacińskiego nieba?

Czekam w tym roku wiosny, jak szczęścia. O ile na to tylko przyzwoitość pozwalała, cieszyłem się na jej przyjście, hamując wybuchy radości...

Chciało mi się krzyczeć, wołać...

— Jezus Marja! Przecież obywatelem ziemskim jestem, już od trzech lat gospodaruję samodzielnie w Lipowej... Niedługo będzie dwa lata, jak się ożeniłem! Sadzę dwieście morgów kartofli dla największej w powiecie gorzelni! Muszę pokonywać mężnie moje studenckie odruchy! Co by na to powiedział mój ojciec nieboszczyk, gdyby żył?...

Mawiał:

— Pamiętaj, że Lipowa w naszych stronach, to zupełnie, jak Browar Mieszczański w Pilźnie dla piwoszków!

Zapewne, zapewne. Miał ojciec nieboszczyk rację. Tylko, że z temi relikwjami rodowemi odziedziczyłem niepotrzebnie Napiórkowskiego...

Pasujemy do siebie... Końby się uśmieł!

Wymieniłem przy nim kiedyś nieostrożnie nazwisko Maeterlincka.

— A jakże, panie dziedzicu, to dobry siewnik. Ale ja wolę nasze Melichary...

.
Nie, stanowczo. Muszę opanowywać moje odruchy!

— Co komu do tego, że prócz agronomji, studjowałem także literaturę?

— Co komu do tego, że mam dopiero dwadzieścia sześć lat? Kto mi kazał żenić się tak wcześnie?

Och, czemuż nie mam jeszcze sklerozy, przepitego głosu, łysiny na trzy powiaty — i powagi? Tak, p o w a g i !

Gdyby się miało kiedyś wydać, że w sekrecie pisuję wiersze, byłbym zgubiony. Zgubiony niepowrotnie, jak morderca, bandyta — nie, gorzej: jak, jak szuler!

Jakiś wyrafinowany sadyzm jest w tej sytuacji: torturowany Cavaradossi jęczy, jak kaleczony

ogier — poto tylko, żeby Tosca miała sposobność popisania się swoim bel — canto!...

.
Niech się stanie! Jeszcze dzisiejszej nocy, kiedy wszyscy zasną, kiedy będzie chrapał cały folwark, wszyscy fornale, parobcy, imć Napiórkowski — popełnię sonet. Tak jest! Sonet o wiosnie!

A w chwili, gdy będę pisał ostatnie, mistyczne sześć wierszy — niechaj wybuchnie tuż, za moim oknem, perlista, olśniewająca gama zwiastowania:

— Jestem!

Będę wiedział wówczas, że przebaczyła mi wszystkie moje zbrodnie: defekację, kainit, saletrę, któremi plamę jej dziewicze łono...

Chciwość, z jaką obliczam możliwe i niemożliwe korzyści...

Gwałt, który zadaję naturalnym popędom koni, krów, owiec, obrzydliwie pożytecznych świń — i wszelakiego ptactwa...

Rany, które sprawiam jabłoniom, grusdom i śliwom, iżby rosły mniej bujnie, więcej natomiast dawały owocu...

Wyjdę na palcach z pokoju, otworzę drzwi na

taras i spalę mój sonet nad czarnem, czarnem
jeziorem... Wystarczy jedna zapalka.

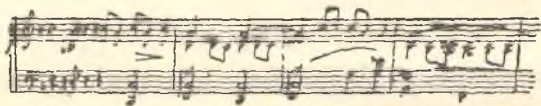
Będzie mi się zdawało, że się oddałem, po raz
pierwszy w życiu — ja, mężczyzna!

I poczuję może na ustach ciepłe wionienie jej
pocałunku: Pocałunku Wiosny.

V.

Marychna grała dziś moje ulubione, stare shimmy „Japanese Sandman“.

Lubię szczególnie te cztery takty:



Potem rozdokazywaliśmy się, jak dzieci.

Tańczyliśmy na dywanie, w salonie, między fortepianem, dużym stołem, małym stołem i serwantką z kryształami.

Na to weszła żona.

Spojrzała na nas (zdażyłem tylko zauważyć, że miała złe oczy) i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi dosyć hałaśliwie.

Marychna zmieszała się trochę... Poczułem, że mi się opiera.

Powiedziała: Dosyć już...

Zmusiłem ją poprostu, żeby tańczyła dalej, bo to przecież do niczego niepodobne!

Było mi trochę niewyraźnie, jednocześnie zaś czułem, że sytuacja jest wysoce komiczna: — Jakże? Potraktowano nas, jak niegrzeczne dzieci...

Jak zwykle w takich wypadkach, zacząłem nadrabiać wesołością... Tak tańczyłby Lloyd George, a tak markiz Ito... Potem dawaliśmy jeszcze lepsze improwizacje. Shimmy w wykonaniu imci Napiórkowskiego...

Marychna jest strasznym trzpiotem, zresztą, bardzo lubi tańczyć. Więc tańczyliśmy nasze shimmy coraz bardziej kabaretowo, przyśpiewując sobie, oczywiście, bo nie było komu grać. Kiedy mi tchu brakło, śpiewała sama Marychna. (Kobiety mają bardzo wytrzymałe płuca). Potem gwizdała. (Gwiżdże jak Kawecka).

Ach, tak. I piersi ma wyjątkowo piękne — to jest chciałem powiedzieć, że tak mi się zdaje: nosi zawsze cieniutkie bluzki z jedwabiu, albo Crepe-de-Chine'y, i te bluzki unoszą się za każdym westchnieniem, za każdym oddechem Marychny nie naprzód i wtył, jak zwykle — i nie do góry i na dół — ale na prawo i na lewo — takie ma śliczne, strome piersi, to jest — biust.

Pomyślałem sobie w pewnej chwili, że piersi Marychny nie patrzą na siebie. Mają, że tak po-

wiem światopogląd odśrodkowy... Ha, ha. Ekscentryczny...!

Pod cienką bluzką, bo inaczej nie wypada.

Marychna wogóle... Rusza się rasowo, ma rasowe, smukłe nogi... Stópki maleńkie...

Dość!

.

Dziwna rzecz małżeństwo. Przecież nie oznacza to chyba ani zdradza jakiejś wyjątkowej zmysłowości, jeżeli, mieszkając pod jednym dachem z młodą panną, ma się wyrobione zdanie o jej powierzchowności?

Zresztą, kuzynka?...

A jednak, gdyby żona zauważyła, że ja zauważyłem jakiś szczegół, bodaj nawet najmniejszy drobiazg, dotyczący Marychny, albo będący Marychną — chcę powiedzieć: — fizyczną Marychną — zrobiłaby mi scenę.

Więc, po pierwsze: należy pamiętać o tem, że kuzynka mojej żony nie jest moją kuzynką.

Po drugie: nie wolno mi myśleć o tem, że Marychna ma głowę, szyję, ramiona, piersi i tam dalej — dalej — — —

Natomiast wolno (chce mi się śmiać!), nawet zaleca się pamiętać, że ma „zaczne serce i kultywowany umysł“...

Jakgdyby było możliwe imaginować sobie serce i umysł kuzynki mojej żony nie w ładnym (bardzo ładnym!) akcie — ale, na przykład w abstrakcji.

Albo w galarecie.

— Bo to na jedno wychodzi!

Wczoraj miałem z żoną przejście, ale to najprawdziwsze przejście, takiego dużego kalibru.

Nie wiedziałem, że kobiety są do tego stopnia zazdrosne...

Zaczęło się od trzaśnięcia drzwiami, kiedy mnie żona zobaczyła w salonie, tańczącego z Marychną.

Przy stole nie odezwała się do mnie ani razu.

Starałem się wszcząć „ożywioną rozmowę“, ale nic z tego nie wyszło.

Wogóle, jeżeli kobieta chce, żeby nad stołem zaciężyło nieznośne, przytłaczające milczenie; potrafi to zrobić tak, że każdy czuje pięciopudowy ciężar na karku...

Zwłaszcza, gdy m i l c y pani domu.

Miałem wrażenie, jakbym jadł gwichty żelazne.

(Jedliśmy Filet mignon, pommes chipes, dysponowane, oczywiście, w przeddzień owego nieszczęsnego shimmy, bo tegoż dnia żona zadyspo-



nowałyby mi pewnie kluski kartoflane, na widok których dostają egzemy...)

Nagle, przed deserem, żona wstała — i wyszła z jadalni.

Siedzieliśmy osowiali, z dość głupimi minami.

Panna Drouet spojrzała na mnie, potem na moją teściową i zapytała:

— Est-ce que madame est souffrante?

W głosie pocziwej Drouetki brzmiała prawdziwa troska i niepokój.

Matka żony wstała i wyszła.

Biedna Drouetka zaczerwieniła się, jak mak, bo pomyślała zapewne, że coś się święci, ale nie wiedziała — co?

Zdaje się, że coś tam odpowiedziałem — jak zwykle w takich wypadkach, niezbyt inteligentnie — dobrze nie pamiętam.

Deseru nikt z nas nie dotknął.

Odsunęliśmy krzesła, nikt nikomu nie podziękował (u nas się jeszcze dziękuje po obiedzie, starym zwyczajem) — i wstaliśmy od stołu, kompletnie zgaszeni.

Marychna prawie wybiegła z jadalni, panna Drouet wyszła za nią...

Obie miały takie miny, jakgdyby gubiły podwiązki...

Byłem wściekły.

Poszedłem prosto do pokoju żony, bo lubię takie mikstury wypijać jednym haustem.

Stukam.

Cisza.

Stukam jeszcze raz.

Cisza.

Wchodzę.

Żona moja leży na kanapie — i szlocha!

— Lalu, co ci jest?

Nie odpowiada.

Podchodzę do niej, siadam na brzeжку kanapy.

— Lalu???

.

Pogodziliśmy się.

Ale płakała blisko godzinę.

VI.

Mści się na mnie — czuję to dobrze — przekłeta krew francuska, płynąca w moich żyłach! Doprawdy, mógł był pradziadzio wziąć sobie prababcie z białego, cichego dworku. Djabli nadal emigrację...

Gdybym nie miał tych romańskich strzykań w sercu i w nerwach (to jest gorsze od artretyzmu!) — radziłbym sobie zupełnie dobrze ze zmartwieniami, irytacjami, z gospodarczemi katastrofami... Ale cóż? Zamiast pojechać do sąsiada na bridge'a, a n a l i z u j ę...

Poza tem: należę, zdaje się, do rasy ludzi, którzy potrzebują masę słońca — a Polska popisuje się, jak wiadomo, klimacikiem — — —

Różne oryginały kwitną na polskiej wsi. Jak się człowiek przez parę dziesiątków lat wymęczy na roli, nabiera łatwo osobliwego fasonu...

Pożał się, Boże, jaki to bywa fason!

Dziwaczej szlagony, że strach!

Jeden sobie na wieś atletów sprowadza albo bokserów — i mocije się z nimi na gazonie przed domem, wprawiając Bartków w nieopisany zachwyty. Inny wieżę buduje na skrzydle pałacu. POCO wieżę? A, na wypadek rewolucji, powiada: żeby się było skąd odstrzeliwać hołocie...

Inny znów karakuły hoduje. Owce mu zdychają, takie ma zatrute i kwaśne pastwiska, ale on na nic nie zważa, tylko furt podnosi... kulturę.

Albo bzika dostają na punkcie gościnności. Zmuszają swoich gości nietyle do jedzenia, ile do żarcia... I tacy się zaraz groźni stają, kiedy blady z przestachu gość dziękuje... Ho, ho! — Musisz pan zjeść, bo pomyślimy, że gardzisz...

A ci nemrodzi nadzwyczajni? A ci politycy, wywodzący wszelkie nieszczęścia świata od żydów? A oni artyści domorośli, coraz to produkujący nowy jakiś niepoczytalny dziwolaż? A oni manjacy, pracujący nad... poprawieniem polskiej rasy?

Och, czuję dobrze, że jak tak dalej pójdzie, zdziwaczęję i ja!

Nie wiem jeszcze, w jakim kierunku to pójdzie, ale obawiam się, że wypadnie głupio...

Znałem na Litwie zacnego szlachcica, który

nawymyślał raz swemu bratankowi — i to jak nawymyślał!

Jechali sobie we dwóch konno, stryjcio z bratankiem, i zachciało się raptem chłopcu zsiąść z konia. Ot, zwyczajna rzecz. Zsiada, zarzuca sobie cugle na ramię —

A tu stryjcio dobrodziej jak nie furknie, zgorzszony:

— Zwarjowałeś? Na klaczy przecież jedziesz! Pójdź-że za krzak...

.

Obawiam się, że zanim doczekam się łysiny, wpadnę, w jakąś śmieszność... Będę kolekcjonować fotografie baletnic, albo zachoruję na rodowód...

Może zrujnuję się na pałac? Może będę robił perfumy z torfu? Albo zachoruję na polowanie par force? Może przyjdzie mi do głowy zregulować r ę c z n i e cały majątek...?

.

Wielka to rzecz, wieś. Nie rozgryzie jej łatwo. Kto ziemi nie ma w sobie bodaj het, daleko wstecz, ten się będzie męczyć długo, bardzo długo, zanim się wsi uczepli, jak należy...

Inna znowu rzecz, że jak się ma z dziada-pra-

dziada tyle tej próchnicy w sobie, to się mimowoli — miast w niebo — patrzy pod nogi...

I płynie takie życie, jak woda deszczowa: jak jest uczciwy przegon, to dobrze. Jak niema — zaraz się pole zamula: pole życia.

.

A szkoda, że nie wynaleziono dotychczas sposobu na drenowanie ludzkich mózgów. Jakby wydobrzała szlachecka brać, jakby się rozgrzała, gdyby jej tak dać do środka trochę przewiewu!... I nawałnice dziejowe mniejby jej szkodziły, i posucha nie tak dokuczała... I włoskowatość dusz dłużejby trwała...

Źle, kiedy się ta włoskowatość niszczy. Wtedy nic, tylko jedno zostaje: wiara w obornik! Wielka rzecz obornik. Ale oprócz obornika jeszcze chyba jest coś na świecie?

— Hm...

Widzę już Napiórkosia, jak z politowaniem nade mną ramionami wzrusza, a potem przy pierwszej okazji, idąc ze mną przez pole, czy przez podwórze — podnosi z ziemi grudkę nawozu, w palcach ją rozkrusza i mówi zbożnie:

— Ot, proszę dziedzica — cały ludzi rozum. Cały rozum!

Zdaje mi się, że słyszę w tej chwili gruby głos Napiórkowskiego i widzę jego ruch...

— Ha — może ma rację?

Byliśmy podobno dawniej krzepcy, rześcy, zdrowi. Surowe bywało życie, ale bujne!

Teraz się nasz charakter narodowy trochę popsuł. Z jednej strony mazgajstwo jakieś uczuciowe, z drugiej — chłód...

I niebo polskie nam się popsuło. Ot, chociażby teraz. Siąpi i płacze, maże się obrzydliwie, zawiewa drobnymi kroplami słoty...

W pole ani wejść, ani wjechać. Wszystko stoi, czeka. Zaczynam się obawiać, że rację miał tym razem Napiórkowski. No, i moja żona, oczywiście!

Orki się wściekły, o siewie ani myśleć.

Można popaść w melancholję.

Wziąłem dziś po obiedzie najulubieńszą moją książkę do ręki: Colas Breugnon — Romain Rolland'a. Przeczytałem pięć stron — i dałem spokój. Nanic. Żeby się na głowie postawić, nie zaszczepli w Polsce — słońca. To darmo!

VII.

Nowa awantura z żoną, znowu o Marychnę! Nie pojmuję, co się w naszym domu dzieje...?

Wybraliśmy się dzisiaj po południu do Gnoińskich. Dawno się tam nie było, odwiedzali nas parę razy, należała się rewizyta. Oczywiście, wobec strasznej niepogody, trzeba było jechać kareta.

Otóż, przy wsiadaniu do karety, pierwsza scenka.

Otulam pledem nogi moich pań. Pierwszą otulam Marychnę: gość przecież! Żona mi nagle cofa nogi i mówi sucho:

— Dziękuję ci, potrafię sama.

— Pozwól, Lalu.

— Nie.

Ton? Ruch? Zmarszczenie brwi...?

Ano, nic. Ruszyliśmy. Jedziemy, jedziemy — naraz, może o jakieś pół kilometra za domem, prrrr!

— Co się stało?

Wychylam się z okna i pytam:

— Co tam, Andrzej?

Stangret gramoli się z kozła, wściekły:

— Kapsel, proszę Jaśnie Pana...

Począł gdzieś po błocie i przepadł. Czekamy pięć minut, czekamy dziesięć — Andrzeja niema, czekamy kwadrans — niema. — Cóż, u Boga Ojca?!

Nie może się obejść bez dialogu.

— Och, wiesz, ci twoi faworyci?

— Mówisz o Andrzeju?

— Mówię o nich wszystkich! Nabić w armatę i wystrzelić!

Lala moja nie jest krwiożercza. To się w niej dopiero w ostatnich dniach zaczęło rozwijać... Pytam:

— Widzisz, chybabyś nie chciała, żebyśmy zgubili koło po drodze?

— Tak, ale stangret powinien przed wyjazdem dobrze obejrzeć pojazd.

— Racja.

— Ilekroć wyjeżdżamy w sąsiedztwo, zawsze coś się zdarza.

(Między nami mówiąc, zdarzyło się coś podobnego pierwszy raz, bo Andrzej jest wzorowym

stangretem, i nic mu się nigdy nie psuje, nie urywa, ani nie odkręca...)

Znalazł się wreszcie Andrzej. Przedziwnym, istic furmańskim instynktem znalazł swoją kapslę w łokciowym bloku drogi. Przykręcił, siadł na kozioł, ruszyliśmy. W nieszczególnych humorach, oczywiście... Odzywam się do żony raz i drugi — zbywa mnie półsłówkami. Zwracam się wobec tego do Marychny i zaczynamy paplać. Marychna ma szczególny wdzięk w rozmowie; nie jest gadatliwa, ale potrafi, jak mało kto, prowadzić konwersację „a vista“. Robi to zresztą z właściwym jej wdziękiem...

Rozmawiamy tak przez chwilę, gdy nagle żona wybucha najniespodziewaniej w świecie:

— Mój drogi! Zwracam ci uwagę, że nietylko Marychna, ale i ja jadę z tobą!

Marychna czerwieni się naturalnie, mnie ogarnia gniew. Skutkiem tego mówię może nieco ostrzej, niżby należało:

— Zaczynasz być nieznośna!

Wówczas Lala zaciska usta, rzuca na mnie jedno ze spojrzeń, których nie znoszę — (spojrzenie zabijanej sarny!) — i odpowiada mi głucho:

— Wyciągnę konsekwencje z twojego zachowania się. Bądź spokojny.

Zapowiedź tych „konsekwencyj“, oczywiście, nie usposabia mnie różowo. Nie zachęca również taka bezsensowna scena do „spokoju“.

W tej chwili Marychna, poczciwości, ma naturalny odruch. Bierze mnie za rękę, drugą ręką obejmuje wpół moją żonę i mówi szybko:

— Fe, moi kochani! Kłóćcie się ciągle? Takie młode małżeństwo?

Słowa Marychny mają tylko taki skutek, że Lala odwraca się do okna i mówi nawpół przez łyzy.

— Młode małżeństwa bywają także niedobre, moja droga...

Poczem dodaje:

— ...i przestają się kochać, kiedy mąż na każdym kroku —

Patrzę na nią, Ca, c'est le comble!

— Więc to ja jestem winowajcą? Ja? Ja? Ja?

Milczymy wszyscy troje przez resztę drogi do Gnojna. Wizyta naturalnie się nie udaje. Humory skwaszone, miny rzadkie. Gnoińscy, jak zawsze, bardzo poczciwi, przesadzają się w uprzejmości i gościnności. Siedzimy u nich krótką godzinę, poczem, pomimo zaproszeń i błagań, żeby pozostać na kolację, zegnamy się, motywując rychły odjazd... migreną Lali. W migrenę Lali, oczy-

wiście, nikt nie wierzy. Porozumiewawcze spojrzenia... Pani Gnoińska, niezła kobieta, ale pierwsza plotkara w okolicy, przebija mnie wzrokiem, jak szydłem. Brrr! (Taby się zdała na komorze celnej!)

(Warto było jechać!)

VIII.

Słońce.

Wielkie, gorące, wiosenne słońce świeci nad Lipową. Ziemia raptownie obsycha.

Przez dwa dni wiało ostro z południa: jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy mogli zacząć w sobotę roboty w polu. Najwyższy czas!

Zdarzył się dziś wypadek trochę komiczny i trochę żenujący. Właściwie, nie zdarzył się żaden wypadek, tylko tak —

Puszczano po raz pierwszy Blue Boy'a do kłaczy. Zwykła przecież rzecz. Ale trzeba nieszczęścia, że się w pewnym momencie przed stajnią cugową znalazła... kuzynka Marychna!

Wracała z jakiejś wycieczki na folwark, czy z ogrodu, nie wiem zresztą skąd — i — i —

Blue Boy wyleciał z półciemnej stajni, jak szalony — napięty, jak drżąca cięciwa, rozdygotany — — —

Włókł za sobą dwóch ludzi, którzy ledwo go mogli utrzymać na linkach: stangreta Andrzeja i chłopca stajennego...

Spiął się, stanął dęba, potem spadł lekko na ziemię czterema kopytami, pokazał pyszny ganasz królewskiej swojej szyi i zarżał...

Był cały złoty w tem wiosennem słońcu, cały złoty, lśniący — i porywająco piękny...

Zaczem w pewnej chwili runął, jak burza, na swą kochankę —

Wtedy Marychna, dotychczas zapatrzona w cudne zwierzę, jak w obraz, nagle zebrała oburącz sukienkę i zaczęła biec w kierunku domu, zupełnie, jakby ją ścigały furje...

Miała na twarzy szkarłatne rumieńce... To było śmieszne... I całkiem zrozumiałe, ostatecznie...

.
Ludzie zrazu wybuchnęli śmiechem, ale się wnet pomitygowali, ze względu na moją obecność. Blue Boy chrapnął kilka razy...

Oprowadzono go potem kilkakrotnie naokoło trawnika, klacz za nim.

Z folwarku dolatywały rżenia i wesołe hukania...

Słońce piekło.

IX.

Od sceny przed stajnią cugową upłynęło tylko dwanaście godzin; ale ile rzeczy dziwnych przydarzyło mi się w tym okresie!...

Nie wiem, czy Marychna rozmawiała z Lalą, czy też moja żona domyśliła się czegoś z właściwą kobietom intuicją?

Po obiedzie, gdy usiedliśmy we troje w bibliotece, padło naraz, bez żadnego specjalnego przygotowania, słowo: brutalność.

Z ust mojej żony, naturalnie...

Rzuciła to słowo jakby odniechcenia, zapatrzona w okno.

— Nie rozumiem, Lalu?...

Nie rozumiałem — ja. Wogóle, coraz częściej przyznaję się wobec niej, że nie r o z u m i e m. I tym razem również musiałem się przyznać do mojej wątlej inteligencji...

— To nic, Stasiu, że teraz mnie rozumiesz.

Jutro, albo pojutrze może ci się pewne sprawy rozjaśnia...

Potem pauza.

— Na dwanaście taktów.

Pobiegłem mimowoli wzrokiem za spojrzeniem mojej żony. Patrzała w okno. A za tem oknem, na niebie czystem — przeczystem, na blado-błękitnem niebie, drżały lekko wątle gałązki akacji...

Drżały też ledwie dostrzegalnie usta Lali. Można było przypuszczać, że się lada chwila znowu rozpłacze.

Spojrzałem z kolei na kuzynkę mojej żony. Miała też niezwykle wyraz oczu. Wydało mi się, że tak zwane „panienki” rozszerzyły się jej znacznie...

Przytem, był w jej źrenicach niepokojący jakiś połysk — jakby refleks czegoś mocnego i gorącego, czegoś, dopiero co odkrytego...

Wszedł Feliks z czarną kawą.

Zaczęliśmy popijać tę poobiednią kawę wolno i — jak mi się wydało — chytrze, przedłużając umyślnie tak łatwe i niezłożone czynności, jak: mieszanie cukru w filiżankach, albo dolewanie do wonnej mokki tłustych kropel śmietanki...

Z dwudziestu czterech taktów pauzy zrobiło

się czterdzieści osiem, potem może dziewięćdziesiąt sześć... Nieznośnie długo milczeliśmy, to prawda. Każde przeżywało intensywnie jakieś swoje myśli, czy spostrzeżenia — i nie chciało, żeby to spostrzeżono.

Musiałem mieć najłżejszą w tej chwili głowę i dosyć czyste sumienie, gdyż pierwszy odezwałem się w pewnej chwili:

— Napiórkowski chce w sobotę zacząć sprężynować pole pod wiatrakiem...

Urwałem, bo obie panie jednocześnie wpiły się we mnie oczami. Nawet podały się przytem nieco naprzód, giętkimi jakimiś ruchy.

Wydało mi się, że oto jestem polem, które zaraz zaczną sprężynować... Nie wiem, czy rola coś czuje, kiedy się w nią zagłębiają zęby kultywatora: jeżeli czuje, to mniej więcej coś takiego...

Marychna przysłoniła źrenice powiekami, westchnęła bezgłośnie, tak jakoś porywczo. (westchnienie to zauważyła Lala i odpowiedziała na nie mimowolnem drgnieniem rzęs) — wstała, podeszła do okna i powiedziała:

— Cudownie dziś jest na świecie.

Odpowiedziałem:

— Cudownie!

Lala zacisnęła usta. Potem nagle zwróciła się do mnie i zaczęła o czymś mówić ze sztucznem ożywieniem — tak jakoś nienaturalnie i fałszywie, że nie tylko ja, ale i ona nie umiałaby teraz powtórzyć, o czem mówiliśmy wtedy!

Słowa padały szybko, jedno po drugim, nic nieznaczące, a myśli szalały coraz bardziej.

Zwróciłem się w pewnym momencie w stronę kuzynki mojej żony. Drżała. Tak, drżała!...

Lala rozcięła automatycznym ruchem parę kart jakiejś książki, którą nam przysłano z pocztą, potem wstała i wyrzuciła z siebie jednym tchem, niby zadaną lekcję:

— Muszę zajrzeć do szklarni. Ogrodnik, zdaje się, w tym roku znowu zmarnował nam najpiękniejsze kwiaty... Wrócę za pół godzinki. Zaczekacie na mnie, prawda?

Już to było nieszczerze, że pytała się nas, czy na nią zaczekamy: zazwyczaj wychodzi po obiedzie do ogrodu z Marychną, a ja idę na folwark i spotykam się z paniami dopiero około kolacji. Więc pozostawianie nas sam na sam bardzo odbiegało od codziennego porządku życia.

Marychna nie mogła, oczywiście, napierać się, że z nią pójdzie: było widoczne, że Lala chce ją zostawić w domu...

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, zamknęły się drzwi za Lalą.

.

I teraz zaczęły następować po sobie nieprzewidziane i zupełnie bezsensowne zdarzenia tego popołudnia.

Pierwsze: gdy tylko żona moja wyszła, zwróciła się do mnie Marychna i oświadczyła z determinacją, trochę trzęsącym się głosem:

— Jutro wyjeżdżam. Poproszę cię, Stasiu, o konie.

Byłem do tego stopnia zaskoczony, że przez sekundę milczałem. Następnie, widząc, że Marychna idzie do drzwi, zrobiłem kapitalne głupstwo. Zamiast ją posadzić łagodnie w fotelu i zażądać wyjaśnień (wszystko byłoby się, naturalnie, inaczej ułożyło) — podbiegłem do Marychny i schwyciłem ją za rękę.

— Co to znaczy???

Usiłowała uwolnić palce z mojego uścisku. Nie puszczałem. Wtedy raptownie Marychnie nabiegły łzy do oczu i — zanim mogłem temu zapobiec, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

— Lala mnie nienawidzi! Nie wiem, dlaczego, ale tak jest! Nie chcę wprowadzać zgrzytów do

waszego życia. Muszę wyjechać! Nie zatrzymuj mnie, Stasiu...

— Marychno!!!

Wyrwała mi w tej chwili rękę i złapała za kłamekę.

A ja, niebardzo wiedząc, co robię, schwyciłem ją w ramiona.

— Stasiu...

Zamiast łez, znalazła naraz w oczach żar, jakiego dotąd nie widziałem. Nie broniła się, o nie! Zwinęła mi się w uścisku ruchem szybkim, jak myśl — upadła na moje piersi, zarzuciła ręce na szyję — i wpila się w moje usta.

.
Druga katastrofa: zacząłem ją całować jak opętany...

.
Jest teraz godzina... godzina?...

— Ach, czy ja wiem, która teraz godzina! Nic nie wiem, nic. Jestem szalony. Moje wargi zachowały niesłychany smak jej warg. Mój język oniebiał w tych pocałunkach. To były zbójeckie jakieś pocałunki. Dzikie i żywiołowe, bezwstydne i drapieżne... Tak, doznaję jeszcze strasznej fizycznej rozkoszy jej pocałunków... Wydaje mi

się, że czuję posmak krwi... Nie wiem, czy ona mnie ugryzła... czy też ja...

Biją mi pulsa w skroniach, wszystkie pulsa...

Zamykam oczy i widzę Blue-Boy'a w skoku...

Zamykam oczy i doznaję furji pożądania...

— Marychny!!!

Gdybym mógł wszystkie moje zmysły zamie-
nić na jeden zmysł, i wszystkie moje mięśnie,
wszystkie nerwy — uczynić jednym narzędziem
tego jedyne go zmysłu — pragnąłbym... pragnął-
bym...

— O Boże, Boże! Czy to zbrodnia? Czy jakaś
święta dzikość we mnie dojrzuwa? Co się stało?
Co jutro będzie? Dlaczego tak płonę? Dlaczego?
Misterjum? Łajdactwo? Podłość? Nie wiem!
Nie wiem nic! Jak zwierzę, jak oszalały wiosną
jaskiniowiec... Chcę wyc do...

.
— Jakież szaleństwo: myśl o niej, gdy obok,
w sypialni, we wspólnej naszej sypialni — spi
moja młoda żona!...

X.

Wleczę się ta noc, jak tortura. Krew kipi, jak purpurowy war. Godziny są, jak wielkie ciężary. Cisza, jak obręcz żelazna, nabita ostrzami...

Wszystkie minuty, (miarowe tykanie zegara)—dzwonią, jak nieznosne, ostre dzwonki. Co pewien czas zgrzyt: sprężyny zegarowego werku odznaczają kwadranse...

I huk nagły: bicie owych ciężarów: bicie godzin...

Olbrzymie skały wiszą nad moją głową... Łada chwila runą!

Runie odwieczny dach, kryjący nasze domostwo. Pogrzenie nas wszystkich. Lale, Marychnę, mnie...

Najprzód posypie się mialki tynk na tę młodą dziewczynę: śpi na górze.

Potem, zaczną się łamać sufity. Kawałami. Z trzaskiem.

A potem, potem — z przerażającym łoskotem i hukiem zawali się ten dwór, w którym urodziło się i umarło tyle, tyle ludzi...

Pierwsza zginie Marychna: bo ona śpi na górze!...

Nade mną śpi, nad moim gabinetem...

Szczęście młodego stadła umarło tej nocy. Nasze szczęście, ha, ha! Kłamstwo weszło między nas. To jest nie do poprawienia...

Więc koniec!

Tylko w jednej sprawie niech-że nie będzie kłamstwa. W najważniejszej!

Nieprawda, że dlatego ten dom trzeszczy, że dlatego ten dom się wali, bo jego mieszkańcy się już nie kochają... Nie! Kto tu coś mówił o miłości?

— Nienawidzę cię, sypialnio małżeńska! Nienawidzę, obłudna ciszo udanego snu! Nienawidzę cię, zmarszczko pionowa między brwiami... Zmarszczko na białem czole mojej kobiety... Nienawidzę, równy oddechu... Nienawidzę cię!

.

— Ja chcę w tej chwili pieścić tę młodą dziewczynę, która śpi na górze!

Chcę ją mieć przy sobie, chcę z nią spędzić tę jedną, jedyną ostatnią noc!

Jutro będziemy się rachowali. Jutra może nie

będzie wcale. Jutro może spróbujemy latać to, co się stało...

Obrzydliwą rozwałą, albo jeszcze obrzydlivszą litością...

— O, móc poczuć upał młodego ciała Marychny ——— usłyszeć jej stłumiony jęk ——— umrzeć w jej uściskach! — — —

Tssss...

— Ona nie śpi tam, na górze. Nie śpi! Gryzie może poduszkę i załamuje ręce.

Szłocha cicho i wymawia po sto razy moje imię. Nigdy się ta noc nie powtórzy!

Nigdy!

Będziemy może kiedyś starzy i syci życiem, pełni wspomnieniami — — — —

— Czy nie przeklniemy wówczas tej nocy? Nie zapłaczymy z żalu, że —

Tssss...

— Ona nie śpi!...

.

Nie trzeszczą stare schody... Nie skrzypią posadzki... Jaki czar osobliwy sprzymierzył się ze mną i uśpił cały dom? Żonę, matkę żony?

Jakim cudem zdołałem się przemknąć obok pokoju starej kobiety, która ma sen taki lekki... taki lekki?

— Wy, sprzęty domowe, od tylu lat nieporuszone z miejsca, r z e c z y niewidzące — a jednak — świadome — zamknijcie oczy! Zatknijcie sobie uszy! Nie pamiętajcie nic! Nie zdradźcie mnie! Nie odkryjcie nikomu mojej hańby!...

— Idę, Marychno, idę do ciebie!

Teraz już tylko jedno drzwi dzieli mnie od twojego pokoju...

— Tssss...

Ciche drzwi, rozumne drzwi...

— Teraz — — —

Jeszcze krok — i dotknięcie ostatniej zapory — — —

— Teraz — — —

.

— Marychna...

XI.

Dzisiaj wyjechała Marychna. Nikt z nas nie odprowadzał jej na stację, gdyż zastrzegła się stanowczo:

— Jeżeli mi nie chcecie zrobić wielkiej, ale to wielkiej przykrości, pozwolicie, że pojedę sama. Lala jest od kilku dni niezdrowa, Stach ma tyle roboty w polu.

Zastosowaliśmy się do jej życzenia. Tylko Feliks odwoził ją na kolej.

Pożegnanie przed gankiem trwało króciutko, króciuteńko. Marychna ucałowała ręce matki mojej żony, rzuciła się na szyję Lali, potem podała rękę — mnie.

— Dowidzenia, Stasiu! — Bóg wam zapłać za gościnę i —

Resztę jej słów pochłonał turkot pojazdu, bo Andrzej niecierpi długiego stania przed domem. Powiada zgryźliwie: „Konie się narowia bez żadnego niczego“. Tak i tym razem: obejrzał się

za siebie, stwierdził, że panienka już siedzi, zebrał lejce — i już ich nie było...

Wydało mi się, że na zakręcie w lipową aleję, Marychna odwróciła się do nas i uczyniła ręką jakiś gest...

Weszliśmy do domu. Była chwila, żeśmy stanęli wszyscy troje, jakby niezdecydowani, co robić: Lala, teściowa, ja...

Pierwsza znalazła formułę przejścia do porządku dziennego moja teściowa.

— Połóż się trochę, dziecko, bo jesteś ostatniemi czasy bardzo mizerna! — Pogłaskała Lale po głowie z uśmiechem i odeszła.

Zostaliśmy z żoną sami.

— Położysz się?

— Tak.

— Czy ci co dolega?

— Nie. Tak... właściwie. Czuję się niezbyt dobrze.

— Możeby posłać po doktora?

— Ależ, co znowu! Przejdzie.

— Co ci właściwie jest?

— Głupstwo, Stachu. Najzwyczajniejsze, wiosenne jakieś niedomaganie. Za parę dni przejdzie bez śladu...

Zostałem sam w przedpokoju. Chciałem za-

dzwonić na Feliksa — ot, tak, z przyzwyczajenia... Z Feliksem doskonale się rozumiemy i (prawdę mówiąc) lubimy. Ma rzadki dar skierowywania moich myśli na właściwe tory. Przytem umie mnie uspokajać, kiedy się zbyt denerwuję kłopotami gospodarczemi, albo innemi jakimiś sprawami...

Ale przypomniałem sobie, że Feliks pojechał do miasteczka, wyszedłem tedy na folwark.

.
Przez cały dzień czuliśmy się wszyscy trochę niewyraźnie. Panna Drouet miała podczas kolacji zaczerwienione oczy: ogromnie lubiły się z Marychną...

Ale nikt z nas już nie poruszał kwestji nagłego wyjazdu Marychny. Zupełnie jakbyśmy się umówili, że tak lepiej będzie. Poszliśmy wcześniej spać...

A! Tylko jedno.

Wieczorem Feliks zawsze przychodzi do mojego pokoju i pomaga mi ściągać buty. Przyszedł, oczywiście, i dziś. Uskutecznił codzienną czynność zdejmowania butów ze zwykłą powagą. I, tak samo, jak codzień, zwrócił się do mnie z sakramentalnem:

— Dobrej nocy jaśnie panu.

(Życzenie to w jego ustach nabiera sensu. Wypowiedziane bez uniżoności, ale z respektem, stanowi w moim dniu to samo, czem jest w muzyce przewidziana „coda”. „Coda” Feliksa nie brzmi nigdy zdawkowo!)

Dziś, po wypowiedzeniu życzenia dobrej nocy, i po wysłuchaniu mojej stereotypowej odpowiedzi: „Dobranoc, mój Feliksie!” — służący zatrzymał się jeszcze na sekundę przy drzwiach.

— Panienska przykazywała kłaniać się bardzo serdecznie jaśnie panu.

Powiedział — i wyszedł.

Krew uderzyła mi do skroni. Feliks jest uosobieniem taktu. Wie, co robi i co mówi. Jeżeli zakomunikował mi na dobranoc ostatnie pożegnanie Marychny, uznał widać, że to pożegnanie, rzucone (może) w chwili, kiedy pociąg już ruszał, ma charakter ściśle poufny...

Feliks nigdyby nie ścierpiał intymności między służbą a państwem. Tem mniej odważyłby się bawić w jakieś sekrety przed moją żoną. Ale między robieniem sekretów, a oddawaniem prywatnych wiadomości właściwym adresatom — jest przecież olbrzymia różnica. I Feliks to wyczuł. Mądry Feliks!

Wyciągnąłem się w łóżku. Wziąłem machinal-

nie jakąś gazetę do ręki. Po chwili jednak rzuciłem ją zpowrotem na stolik nocny. Nie mogłem czytać.

„Panienska przykazywała klaniać się bardzo serdecznie jaśnie panu...”

Uprzytomniłem sobie dopiero, że Marychna naprawdę wyjechała. Że ją zobaczę nieprędko... Kto wie, czy ją wogóle jeszcze w Lipowej zobaczę...?

Coś mnie złapało za gardło.

A potem poczułem, jak mnie chwytają za serce ostre, bolesne kleszcze żalu.

XII.

Chodzą w polu pługi, jeden za drugim, dookoła. Orzemy po partacku, aby zdążyć, bo wiosna się nam spóźniła w tym roku: — najprzód cygańska trochę i pokazywała uśmiechy, a potem odwróciła się od nas, dokuczała swojemi fochami, grymasami — aż się uczyniła połowa marca.

Jeszcze ani jednego ziarna owsa nie zasiano w Lipowej. A słońce piecze od kilku dni, jak szalone i role w oczach wysychają...

Chodzą w polu pługi, dookoła. Wypędziło się do orki, co było można. Więc wszystkie fornalki — szesnaście skibowców — i cztery pługi ręczne, zbieranina: dwie pary kuców ogrodowych, jedna para porządkowa i jedna (pożał się, Boże!) cugowa...

W tę parę cugową miał orać foryś, ale się Andrzej zbuntował. Przyleciał do mnie od samego rana, jak tylko dostał dyspozycję od Napiórkowskiego, cisnął mi pod nogi klucz od wozowni

i prosił, żebym zaraz szedł odbierać od niego pojazdy i liberję, bo takiej hańby nie ścierpi, etc., etc. Odchodzi!

Dopiero, jak się go trochę uspokoiło i jak mu się powiedziało, że jest stary idjota, kopnął się Andrzej z całych nóg na folwark, wyszturchał forysia, nakrzyczał, ile się zmieści, że „Kiedy jaśnie pan oszalał i chce cugowe konie w polu zabijać, to niech-że je zabija, ale on, Andrzej, nie dopuści, żeby miały się szkapy ochwacać, podbijać, zapalać, naciągać w rękach takiego gnypia, takiego wałkonia i rzeźnika, jak Wicek. Sam pójdzie orać!”

Jakoż, odebrał konie i pług od roześmianego forysia, splunął, nacisnął czapkę na oczy, że mu ledwo wąsiska było widać — i pojechał w pole.

Teraz widzę go wciąż, bo kręci, stary zbój, jak może — i co zajędzie za górkę, wyprowadza pług ze skiby, gada do koni, wyciera je wciąż połą kubraka, że niby takie są strasznie zgrzane... A co-raz, to zezuje w moją stronę i robi miłosierne oczy — że niby tak się biedne koniska męczą...

Fornale huczą śmiechem, kiedy go mijają — i co który objedzie raz dookoła, to się dopiero nasz Andrzej zpowrotem zabiera do orki i wjeżdża w skibę... Prawdę mówiąc, niewielka będzie pociecha z tych cugowych i nie wiem, czy przez

dzień ćwierć morgi wyorze. Ale dobrze tak! Przynajmniej ludzie widzą naocznie, że jest gwałt — a i staremu Andrzejowi taka lekcja się przyda. I tak już nietylko z fernalami, nietylko z ekonomem i pisarzem, ale i z samym Napiórkowskim od dłuższego czasu gada przez nos... Wiemy, co to znaczy!

.
Chodzą w polu pługi, dookoła. Ogromna nie-
zorana przestrzeń pola zmniejsza się z każdą go-
dziną. Żebyśmy musieli do późnej nocy orać,
skończymy!

Jutro się puści od samego rana brony, w po-
łudnie zaczniemy siew.

Jest coś w tej monotonji pracy, co uspokaja.

Uspokoił się nawet Andrzej. Trochę mi go żal,
bo najprzód, stary, a potem — od iluż lat roboty
takiej niezwyčajny!

Ale pogodził się z losem. Chodzi starannie za
pługiem, bo wie, że tak musi być.

I ja wiem, że tak musi być...

Już nóg nie czuje. tyłem dziś razy przemierzył
ten szlak krokami — wszerek i wzdłuż — tyłem
razy podchodził pod górke i schodził wdół...

Coraz bardziej zacieśnia się koło orzących plu-

gów. Coraz też bardziej zacieśnia się krąg moich myśli...

Z rana miałem w sobie jeszcze chaos. Przypominałem sobie wczorajszy odjazd Marychny, tętent koni, znikających w alei lipowej, cichnący turkot pojazdu, nasze krótkie sam-na-sam z żoną... Potem wieczór, porę udawania się na spacer — i pożegnalny message Feliksa...

Teraz ogarnęło mnie jakieś spokojne odrętwienie. Nie wiem, co w tej chwili porabia młoda dziewczyna, do której tak wyrываłem się w ową straszną noc... Nie wiem. Zapewne rozpakowała już swoje rzeczy. Może idzie dziś wieczór do teatru...? Albo, nie. Pewnie jeszcze dziś nie pójdzie do teatru. Może jutro także nie... Dopiero za kilka dni, gdy jej wspomnienia z Lipowej zbledną i zwietrzeją...

.
Coraz ciaśniej chodzą plugi, coraz mniejszy kawał pola pozostał do zorania.

Skończymy przed nocą.

Myślę...

Dlaczego w ostatniej chwili zawahałem się?

Dlaczego nie odważyłem się wejść do sypialni tej młodej dziewczyny? Wszakże posłałem tam wprzód moją tęsknotę?... Wszakże była tam

przede mną — moja gorąca, wzburzona krew, oszalała tej nocy...?

Myszę...

Że dzieliło nas wtedy tak mało: nie dzieliło nas właściwie nic: cienkie przepierzenie drzwi. Jedna wąska deska...

Powinienem był nacisnąć klamkę — któraby się była na pewno cichutko poddała, i powinienem był klęknąć przy łóżku Marychny — wtedy, w mroku — i szepnąć jej, struchlałej, głuchym szeptem:

— Przyszedłem.

Przekradałem się przecież tak przemyślnie, tak cicho, jak duch... Nie widział mnie nikt... Nie dowiedziałby się nikt, co zaszło tej nocy pomiędzy mną a śliczną kuzynką mej żony... Któżby nas mógł zdradzić?—Dom spał.—Trzask podłóg?—Milczały, jak zakłète. — Skrzyp drzwi? — Drzwi nie wydałyby naszego romansu...

— Czy domyśliłby się kto, że byłem w nocy w sypialni Marychny? — Nie. Niktby się nie domyślił. Ani moja żona, ani moja teściowa, ani panna Drouet, ani służba.

! Nie mogłem tam wejść. Nie mogłem! Tak, teraz wiem, że nie mogłem. Mówią mi o tem pługi, orzące dookoła, coraz bliżej, coraz ciaśniej... Mówi

mi o tem zapadający zmierzch, który jeszcze bardziej zacieśnia horyzont... Mówi o tem jakiś podświadomy, głęboki szept, wydobywający się z najsukrytszych tajników sumienia...

Bo to wszystko dzieje się przecież na polskiej wsi. Nie wiem, co to znaczy — ale wiem, że to coś znaczy. Coś bardzo ważnego...

— Na polskiej wsi!...

Tak. Jest jeszcze na świecie kraj słodkiej niewoli, dziedzina niewytłumaczonego wahania, państwo niewzruszonego porządku...

— Polska wieś.

Nie wiem, czy dobrze jest tak, jak jest — czy też źle bardzo? Nie wiem, jak jutro będzie wyglądał nienapisany nigdy kodeks, mający swe źródła — w dawności? I nie wiem nawet tego, co opiewa ten kodeks...?

Brak mi odpowiedzi. Nie umiem dać objaśnienia pewnym rzeczom...

.

Pługi moje doorały ostatni szmat pola. Wracamy do domu.

— Jakże wdzięcznie zapachniała w tej chwili otwarta ziemia...!

CZĘŚĆ DRUGA.

XIII.

— Poczta, proszę jaśnie pana.

Feliks kładzie na mojem biurku paczkę gazet i listów, poczem zmierza do drzwi. Przed wyjściem jednak zatrzymuje się nagle, robi zwrot i szkicuje na swem wąsatem, litewskiem obliczu uśmiech... Aha! Pewnie znowu sknocił coś Napiórkowski — i Feliks, ironiczny Feliks, zamierza zaapelować do mojego zdrowego rozsądku... Opowie mi coś o przepustkach w jarzynie, albo o koniu, który zakulał przed chwilą...

Żebyż choć donosicielem był ten dziwak — broń Boże? — Musztruje cały świat nietylko bezinteresownie, ale nałogowo...

Przygotowuję się już na dłuższą dyskusję na temat jakiejś gaffy gospodarczej i uzbrajam się w zasadzie w potrzebną słodycz — gdy wtem —

— Dobrze, dobrze, mój Feliksie. Potem...

Rzuciłem roztargnionem spojrzeniem na pacz-

kę listów i dostrzegłem wąską, białą kopertę... Znam te koperty! — To od Marychny.

Mówię:

— Potem mi Feliks powie. Teraz muszę przejrzeć pocztę.

Słabe wzruszenie ramion... (I co ja z tym dziadem pocznę?) — Mina zlekka urażona... Feliks wychodzi.

Chwytam teraz gorączkowo list Marychny. Czytam adres:

„JWielmożni Państwo Stanisławostwo Lipowscy“ —

Hm...

Adresowane do nas. Do Lali i do mnie. Mam prawo otworzyć ten list...

Nie. Nie otworzę go. Poczekam na żonę... Albo jeszcze lepiej: Poszukam Lali. Musi być w domu!

Idę do pokoju żony. — Jest.

— Mam list dla ciebie.

— Od kogo?

— Zdaje się, że od Marychny.

Podaję jej list. Rzuca nań okiem, potakuje. Zaczyna rozcinać wąską kopertę — i nagle zatrzymuje się. Posyła mi zdaleka spojrzenie... Dziwne spojrzenie...

— Dlaczego nie przeczytałeś pierwszy? Przecież tak samo do ciebie adresowane?...

Milczę. Zapalam papierosa.

Lala rozcina kopertę, przybiera nienaturalnie konwencjonalny wyraz twarzy i zaczyna czytać:

„... dlatego korzystam skwapliwie z nadarzającej się okazji i wyjeżdżam. Sleeping już zamówiony. O ile nic nieprzewidzianego nie zajdzie, wyjadę do Paryża w środę, o 10-ej wieczór, kurjerem. Cieszę się bardzo, że spełnia się w ten sposób dawne moje pragnienie i że poznam nareszcie stolicę świata, do której, jak wiecie, tęskniłam oddawna...”

Lala szuka oczami moich oczu.

Opanowałam już mimowolny, pierwszy odruch. Zdaje się, że go nie zauważyła.

Palę papierosa.

Moja żona kończy:

„... Dzielę się z Wami tą wiadomością, pewna, że zrozumiecie moją radość. Doskonale się stało, że spotkałam w Warszawie Broniewskich, prawda?”

.

Siedzimy teraz obok siebie z Lalą grzecznie, spokojnie i rozmawiamy o wyjeździe Marychny do Paryża. Oczywiście, doskonale się stało...

Wchodzi matka mojej żony. Dzielimy się z nią wiadomością o wjeździe Marychny. Teściowa jest niesłychanie zadowolona. Najprzód cieszy się, że Marychna pojedzie z Broniewskimi.

— Starsze małżeństwo, ludzie bardzo zacni, przytem bogaci. — To, że Marychna zaangażowała się jako lektorka, czy jak tam, tylko jej zaszczyt przynosi. Dziewczynina niezamożna, długoby musiała czekać na taką okazję! Zresztą, Broniewscy są przecież naszymi krewnymi przez Polkowskich... Marychna pojedzie nietyle, jako osoba płatna, ile jako ich powinowata...

Teściowa cieszy się także z samodzielności Marychny.

— Takie to młode, a ma charakter!

Moje panie wymieniają jeszcze kilka myśli na temat wyjazdu Marychny do Paryża.

Lala napisze do niej dziś jeszcze, przesyłając wyrazy serdecznej radości z powodu perspektywy miłej i pouczającej podróży... Teściowa zaraz pójdzie do siebie na górę i wyśle liścik do kuzynki Broniewskiej, polecając jej gorąco Marychnę...

— „To miłe, kochane dziecko“.

Tak. Z temi słowami odchodzi.

— „Miłe, kochane dziecko!“

Lala idzie do swego biureczka, adresuje koper-

tę, zaczyna pisać... W pewnej chwili jednak odkłada pióro, robi w moją stronę półobrotu i mówi tonem potocznym, zupełnie tak, jakgdybyśmy właśnie o tem rozmawiali:

— Ciekawam, swoją drogą, co ją skłoniło do takiej decyzji?...

Potem znów bierze się do listu.

Strącam popiół z papierosa raz i drugi. Wpatruję się w małą, kryształową popielniczkę, stojącą na szyfonierce mojej żony... I zdaję sobie sprawę z tego, że wszyscy troje gramy właściwie komedję... Teściowa akurat tyle dba o „to miłe, kochane dziecko” — co o zeszłoroczny śnieg. Kocha na całym świecie tylko swoją córkę — Lale. Lale, moją młodą, piękną, odniedawna — nieszcześliwą żonę... Gdyby można było uchronić Lale od lekkiego skaleczenia palca kosztem wymordowania całej ludności Stanów Zjednoczonych, uczyniłaby to... Gdyby można było otruć osoby, sprawiające Lali najmniejszą bodaj przykrość, otrulałyby je bez wahania...

— A Lala? Jakiż jest jej stosunek do Marychny?...

Zdawało mi się doniedawna, że wziąłem sobie za towarzyszkę życia najlepszą, najśłodsza kobietę... Zdawało mi się między innymi, że obie:

Lala i Marychna, przyjaciółki z pensji, prawie w jednym wieku, blisko ze sobą spokrewnione, kochają się wiernie...

— Jakżeby mogło być inaczej, ha, ha?

Naturalnie, naturalnie! Czyż list, który w tej chwili stylizuje moja żona, nie będzie dowodem serdecznej przyjaźni?...

Lala kończy po kilku minutach swoją epistołę i podaje mi ją, niejako do cenzury, pytając odniechcenia:

— Dopiszesz się, Stasiu?

Czytam:

— „Kochana moja Marysieńko. Nie masz pojęcia, jakeśmy się wszyscy ucieszyli, dowiedziawszy się o Twojej zamierzonej podróży. Ile pięknych rzeczy zobaczysz. Jakie rozkoszne tygodnie Cię tam czekają. Żałowaliśmy bardzo, po Twoim wyjeździe z Lipowej, że Ciebie już niema w naszym kółeczku... Teraz nie będziemy żalowali, bo chociaż wierzymy w Twoją życzliwość i przywiązanie do nas — zawsze jednak Paryż, to nie nudna, skromna polska wieś — i wierzaj mi, Marychno, że cieszę się całym sercem z Twojego powodzenia...”

— Dopiszesz się, Stasiu?

Lala podaje mi pióro, jeszcze wilgotne, i wstaje

powoli z fotela, chcąc mi widocznie zrobić miejsce. Ogarnia mnie nagle dziwne zdenerwowanie i gniew. Czuję, że robię kapitalne głupstwo — czuję, że nie powinienem tak postępować — ale nie chcę przykładąć ręki do tych zdawkowych i obłudnych czułości, któremi moje panie obsypują Marychnę...

Więc oświadczam sucho:

— Nie, nie dopiszę się.

Lala podnosi wysoko brwi.

— Ależ, dlaczego, mój kochany? — Przecież to nawet wypada.

Odnoszę wrażenie, że mnie prowokuje. Tem gorzej dla niej.

Zupełnie już wściekły, ale zewnętrźnie dosyć opanowany, mówię:

— Ani ton, ani forma twojego listu nie odpowiada, mojem zdaniem, stosunkom, które nas łączyły — względnie — p o w i n n y b y ł y łączyć z Marychną. Tak się nie żegna najbliższej krewnej, która — (zapewne sobie z tego zdajesz sprawę?) zmuszona okolicznościami materialnymi — przyjmuje posadę u obcych ludzi.

Teraz Lala odwraca się do mnie, zbliża, uderza we mnie oczami, jak szpicrutą, i cedzi, blada:

— Tak? Więc ty mi robisz wyrzuty o Marychnę, ty?

Scena jest nieunikniona. Tem lepiej.

— Ja.

— A wiesz, że to wspaniałe.

— Może być. Tylko pozwolisz, że ani twoje zachowanie się, ani zachowanie się twojej matki, nie wydaje mi się „wspaniałem”. Różnimy się widać znacznie w pojęciach...

— Prowokujesz mnie.

— Czem?

— Wszystkiem!!! Zwłaszcza utyskiwaniem nad rzekomą niedolą Marychny.

— Faktem jest jednak, że nie wyrusza w świat, żeby kwiatki zbierać, tylko wyjeżdża po chleb. A że się akurat tak składa, że jej pryncypałowice angażują ją na podróż do Francji, nie do Kamerunu — to już, chyba, przyznasz, rzecz zupełnie przypadkowa!

— W takim razie pozwolisz, że dłużej nie będę z tobą grała w chowanego i powiem ci, że jesteś cyniczny... Wstrętnie, obrzydliwie cyniczny. Nie żadna bieda, czy jak tam, zmusza Marychnę do wyjazdu — tylko — ty właśnie.

— Co takiego???

— Ty!

— Co przez to chcesz powiedzieć?

— Wiesz, co przez to chcę powiedzieć!

— Proszę jaśniej!

— Dobrze.

Lala ciężko dyszy. Mówi z wysiłkiem, starając się opanować łzy, które jej się cisną do oczu niepowstrzymanie:

— Romansowaliście tutaj ze sobą! Tak, nie przerywaj mi! Nie zaprzeczaj! Romansowaliście! Nie chcę w tej chwili wchodzić w szczegóły... Wolę o nich nigdy nic nie wiedzieć! To, co się stało, albo to, na co się zanosilo, było wprost ohydne! Nie wiem, kto był stroną zaczepiającą, a kto — zaczepioną? To tylko wiem, że pogrzebałeś na wieki moją wielką miłość do ciebie! Na wieki! Na wieki!...

W tej chwili Lala wybucha wielkim, rozpaczonym szlochem — i pada na kanapę... Zaczynają ją wstrząsać konwulsyjne dreszcze... Płacze coraz głośniej. Przez sekundę stoję, jak odrętwiały. Nie wiem, co się w tej chwili we mnie przełamuje... Żal? Nienawiść do Lali? Miłość? Skrucha?

Usiłuję opanować jej atak płaczu... Czuję, że mi się to tym razem nie uda... Lala jest przerażająca... Nigdy jej taką nie widziałem... Ależ, na mi-

łość Boską! Ona się wije w jakimś paroksyzmie. Co się stało? Gotowa dostać hysterji!...

— Lulu!...

Ramionami mojej żony wstrząsają raz po raz niezwykle jakieś niesamowite dreszcze. — Duszę łzami. — Jest w okropnym stanie. — Trzeba przecież coś na to zaradzić. — — —

Wybiegam do jadalni, nalewam trzęsącemi się rękoma szklanke wody, spotykam się z teściową.

— Co się stało?

— Lala —

Biegniemy oboje do sypialni, skąd słysząc w tej chwili rozdzierający płacz. Wpadamy w chwili gdy Lala, słaniając się na nogach, podchodzi do łóżka i pada na nie, jak martwa.

— Lulu!...

Zemdlała...

Teściowa mówi do mnie zduszonym, nienawistnym szeptem:

— Zabiłeś nie tylko ją. Zabiłeś — swoje własne dziecko!

XIV.

Nie wiem, jak mi przeszły ostatnie dwa dni... Nie wiem, co się właściwie działo w Lipowej...

Pamiętam tylko, że się przede mną rozdarła w pewnej chwili jakaś olśniewająca zasłona...

Że zrozumiałem — poniewczasie! — prawdę ostatnich miesięcy i tygodni!

— Och, jakimż ślepcem byłem!... Jakimż tragicznym, politowania godnym, głupcem!...

Szło oto ku mnie wielkie, upragnione szczęście. Zbliżała się radosna nowina, o której mówiliśmy kiedyś, niedawno — a jednak tak straszliwie dawno! — z żoną. Było to w pierwszym, słonecznym, niezakłóconym żadnymi zgrzytami okresie naszego małżeństwa...

I wtedy myśl o możliwym ojcostwie napęłniła mnie wielkiem weselem...

Lala była wtedy bardzo cicha, bardzo łagodna — i cała jakby zasłuchana...

Tak. Słuchaliśmy wówczas oboje głosów naszych serc, bijących zgodnie.

.
Jakże inaczej wszystko się stało!

Chodzę i chodzę po pokoju... Staram się zagłuszyć nieznośne wyrzuty sumienia... Staram się zapomnieć słów matki mojej żony...

Ale brzmią mi one wciąż, jak wyrzut najkrwawszy, jak hiobowa nowina...

— Zabiłeś swoje własne dziecko!

.
Lala jest bardzo, bardzo ciężko chora. Leży w swoim pokoju. Zapuszczono tam story, bo ją światło męczyło. Wezwany lekarz odjechał przed godziną. Nic mi wyraźnie nie powiedziano, ale obawiam się, że to wstrząśnienie istotnie zabiło drobny, wątki — i taki bezbronny — załazek życia, który moja żona nosiła pod sercem...

Nosiła go w najgłębszej tajemnicy przede mną, swoim mężem. I miała prawo tak czynić. Albowiem zachowałem się niegodnie. Obraziłem jej najświętsze, kobiece uczucia. Skrzywdziłem ją w tej samej chwili właśnie, gdy cała rozkwitała wstydliwym dreszczem pierwszego macierzyństwa.

Lala jest teraz chora, i lekarz zrobił na wyjezd-

nem gest wymijający. Gest ten mógł równie dobrze znaczyć: „Żle“ — jak: „Beznadziejnie...”

Wiem, jakie mogą być konsekwencje tej fatalnej sprawy... Mogą być najgorsze!

Może się stać, że nie tylko teraz, ale i później nie usłyszymy w Lipowej śmiechu małego dziecka... Nigdy!

.
Rozumiem teraz, ponieważ, podniecenie Lali, jej nagłe zdenerwowanie, płacze, irytacje. Rozumiem, dlaczego reagowała na wszystkie moje wykolejenia się tak nadmiernie czule...

Zarazem obejmuję pamięcią ubiegły okres naszego życia w Lipowej — i karygodne moje zachowanie się w stosunku do Marychny.

Na to nie może być tłumaczenia.

Stało się — i nie odstanie.

Nie wolno mi przywoływać na pomoc niczyjego wstawiennictwa. Nie mogę się tłumaczyć wiosną, ani zamętem krwi: nie jestem, niestety, Blue-Boy'em...

.
Nie mamy w najbliższym mieście powiatowym specjalisty-ginekologa. Doktor nasz leczy wszystko: tyfusy, gruźlicę, różę, katary kiszek i choroby dzieci.

Lala kategorycznie zabroniła mi telegrafować do Warszawy...

Powiedziała cichym głosem, w ciemnym swoim pokoju:

— Proszę mnie już nie męczyć więcej...

A teściowa powiedziała mi nieco później:

— Stan Lali wyjaśni się bardzo prędko. Czekajmy.

Czekajmy...

XV.

Po raz pierwszy, po przerwie kilkodniowej, wyszedłem dziś na folwark. Ale zdarzyło się od razu coś, co mnie ukuło mocno w serce.

Spotkałem na drodze, wiodącej do czworaków służbowych, Wickową, żonę naszego najlepszego fornała; była właśnie przerwa obiadowa, i ludzie schodzili z roboty.

Poznałem zdaleka Wickową. Młoda to i świeża kobieta, przytem, zdaje się, rok rocznie o jednego bąka bogatsza: i tym razem uderzyła mnie jej otyłość, dostatecznie podkreślona charakterystycznym chodem.

Uśmiechnąłem się do kobieciny w przejściu, bo bardzo ich lubię, i odpowiedziałem, trochę roz-targniony, na sakramentalne dzieńdobry.

W tej samej chwili wyszedł z bramy Wicek, ogromnie z czegoś rad i zdaleka już kiwający głową swej babie... U obu jego rąk wisiały tęgie dzieciaki, zamiatające kurz drogi drobnymi piętami...

I tak jakoś troskliwie, zacieple przywitał się Wicek ze swoją żoną — a potem, rażno, poszli oboje do czworaków, żeby spożyć chudy, ciężko zapracowany fornalski posiłek... Ona — on — i tych dwoje — i trzecie, żyjące już życiem matczynego łona...

Ten człowiek nie zapominał o tem, co się należy kochanej kobiecie... Jeżeli tam się kręca jakieś żonine kuzynki, Nastki, czy Kasie, pomagające przyciężkiej Wickowej w gospodarstwie, na pewno się do nich Wicek nie zaleca!

.
Mimowoli przygryzłem usta, słuchając jednostajnego narzekania Napiórkowskiego. Nie pamiętam, o co tym razem chodziło: o smary, że zbyt szybko wychodzą? Czy o żelazo, że je pewnie kowal kradnie?

Napiórkowski poszedł wzrokiem za moimi oczami, dostrzegł oddalających się Wicków — i sapnął zgryźliwie:

— Płodzi się to i płodzi, aż obrzydliwość bierze patrzeć! Trzeci rok dureń żonaty — a już trzeciem dzieckiem jego baba ciężarna...

Mniejsza o wątpliwe daty. Gdyby dopiero trzeci rok żyli ze sobą, nie łąziłyby już po ziemi te małe pędraki... I mniejsza o wyraźne uprzedzenie

Napiórkowskiego do przyrodzonej chamskiej płodności... Ale coś mnie złapało za serce.

Przytem, niewczesna kondolencja.

— Pani dziedziczka nam coś słabuje?

— Tak. Żona niedomaga.

— O, to feler...

(Bywają takie współczucia, pasujące do bolącego miejsca, jak rozpalona cegła)...

— I co też jest pani dziedziczce, jeśli wolno spytać?

— Nie wiemy dobrze, kochany panie.

— Gotówem przysiąc, proszę dziedzica, że jakaś damska niemoc! Ano, już i czas. Wartoby chrzciny sprawić, jak Boga kocham.

Chciałem zmienić temat. Ale nie z Napiórkowskim zmieniać tematy rozmowy, kiedy się ich raz uczepi.

— O! — podniósł wysoko brwi do góry i wykrzywił frasobliwie twarz zmarszczkami: — To nic. Niech się pan dziedzic nie martwi. Główna rzecz, żeby się pani dziedziczka nie namogła, bo to może zaszkodzić...

Darmobym pytał Napiórkowskiego, co on rozumie przez owo n a m o ż e n i e się? Innym razem możeby się zresztą pogwarzyło na ten temat, bo Napiórkosio rezonuje czasem nadzwyczajnie,

a zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o choroby, albo, gdy zaklina się na wszystkie świętości, że się w chłopie „macica oberwała i przez to fałuje“...

Poszliśmy, każdy w swoją stronę. Że moja strona tym razem znowu wypadła zpowrotem, do dworu, pewno się Napiórkowski niezadowolony obejrzał za mną i mruknął sam do siebie piąte przez dziesiąte, że do licha z takim gospodarzem, co to raz konie robotą zarzyna, a kiedy indziej po tygodniu na pole nie wyrzy...

— Cóż? Ma rację Napiórkowski!

XVI.

Choroba Lali wchodzi w jakieś przewlekłe, niepokojące stadjum. Wolałbym już, żeby mi doktor powiedział:

— Proszę pana, jest niedobrze.

Ale doktor znowu dziś przyjechał, badał żonę przez pół godziny, zapisał cały arkusz receptami — i odjechał, odpowiadając zupełnie wymijająco.

— Ano, zobaczymy...

Wszedłem wkrótce potem na palcach do pokoju Lali. Zdaje się, że spała... A może umyślnie przymknęła oczy, gdy mnie spostrzegła na progu swej sypialni!

Nie poruszaliśmy wogóle niebezpiecznych tematów od czasu fatalnego zasłabnięcia Lali. Ani z teściową, ani z kim bądź. Tylko Drouet'ka zagląda mi od czasu do czasu w oczy — ukradkiem — kiedy jej się zdaje, że tego nie widzę — i coś jakby w sobie waży...

— Co?

Teściowa jest tak pochłonięta chorobą Lali, że istotnie nie ma czasu na denerwujące rozmowy... Snuje się cicho po domu, zarządzając bez pośpiechu, ale też i bez zwłoki wszystko, co potrzeba. Podziwiam siłę i energję starych kobiet: tyle w życiu przeszły, tyle się wychorowały — a jednak w razie potrzeby, gdy chodzi o zdrowie najbliższych, albo o zachowanie porządku życia — mnożą, podwajają, potrająją swoje siły...

Tak, i u nas.

Jeżeli służba chodzi na palcach, jeżeli wszystko idzie jak w zegarku, od wczesnego śniadania do wieczora — czyjaż to zasługa? Nie moja, oczywiście, bo w tych rzeczach jesteśmy do niczego. I nie Drouet'ki pocziwej: radaby, zdaje się, nieba wszystkim przychylić, ale płacze z żalu nad kurczęciem, zarzynanym na obiad... Jest strasznie słaba, chociaż taka dobra...

Zdaje się, że istnieją dwa różne rodzaje dobroci: jeden nie zostawia zupełnie śladów — drugi umacnia wszystko, co istotnie umocowania warte... Bodaj, że tą drugą dobrocią trzymał się przez dziesiątki lat dom polski — i porządek polski: cnotą wątlých, szczupłych, starych kobiet, które

tyle pochowały w życiu — a jednak nie obce są
mocy, iście czci godnej...

.

Szara godzina.

Skończył się długi, wiosenny dzień, zaszło
słońce.

W domu cicho zupełnie, za oknami wiatr poru-
sza gałązki bzów...

Nie zauważyłem nawet, jak się ich liście roz-
winęły.

Duża, spokojna tafla naszego jeziora odbija
drzewa dalekich wysp.

Chodzę po bibliotece, przystaję przed szafami,
odczytuję machinalnie tytuły na grzbietach książ-
zek...

Myśli moje opasują ciasno kochanego, bliskiego
człowieka, moją żonę.

Wiem, że przed udaniem się na spoczynek, pójdę
do niej, tak, jak codzień to robię — nachylę się
na sekundę nad jej łóżkiem — i odejdę.

Nie pocałuję jej w czoło. Mógłbym moim po-
całunkiem, najbardziej tklwym, najbardziej ser-
decznym, rozdrażnić jakąś ranę, która się może
wolno goi... Będę czekał.

Jest coraz ciemniej. Pokój pogrąża się w mro-
ku. W jadalni błyska światło. To Feliks rozpoczy-

na swój zwykły, przedwieczorny ront, rozstawiając lampy.

.
Siedząc przy lampie w bibliotece, przeglądam pisma, potem zaczynam czytać jakąś książkę... Odkładam ją po chwili.

Jest mi bardzo smutno i bardzo samotnie.

Trzask podłogi.

— Siedzisz tak sam jeden...

Stoimy oko w oko z moją teściową. — Cóż jej powiem?

— Tak, mamó.

Podchodzi do mnie, bierze za rękę. Mimowoli pochylam się nisko...

— Mamó...

Całuje mnie łagodnie w czoło.

Mówi:

— Idź, Stachu, porozmawiaj z Lalą.

— Zdaje się, że jest jej lepiej — i — w tem miejscu teściowa zatrzymuje się chwilę, jakby się zastanawiała: — Powiedzieć? — poczem kończy niezwykle miękkim głosem:

— I zdaje mi się, Stachu, że wszystko będzie dobrze...

Całuję teściową w rękę. Gorąca fala radości napęłnia mi serce!

— Mama rozmawiała z nią?

— Nie...

— Mama sądzi, że —

— Tak. Mam wrażenie, że jest o tyle zdrowsza.

Milknie.

Mówi po chwili:

— Tęskni za tobą.

Idę na palcach do Lali, pośpiesznie, szczęśliwy—i jeszcze nie dowierzam mojemu szczęściu...

Otwieram drzwi.

W sypialni palą się dwie lampy, przyciemnione abażurami: jedna, nieduża, tuż koło łóżka żony, druga, większa, opodal. Światła tych lamp zlewają się łagodnie. Lala ma oczy szeroko otwarte. Wpatruje się we mnie niespokojnie. Mam chwilę wahania... Potem szybko, prawie za szybko — podchodzę do jej łóżka i siadam na brzeжку pośłania.

— Lalu —

Zamyka oczy, bardzo blada, i wyciąga do mnie ręce...

XVII.

Każda poważniejsza choroba podobna jest do burzy: wdziera się do najskrytszych zakątków organizmu ludzkiego i powoduje w nich spustoszenia. I tak, jak po burzy pełno bywa śladów bolesnej walki, którą dopiero co staczały z nawałnicą krzaki i drzewa, trawy i kwiaty — trwają przez czas pewien oznaki walki w o g r o d z i e l u d z k i e g o ż y c i a.

Cóż dopiero, gdy zaatakowane zostało nietylko ciało — ale i dusza!

Ale jest zarazem po każdej, zwycięsko odpartej chorobie, jakaś radość głęboka, jakieś drżenie wewnętrzne, znamionujące nowy okres rozkwitu człowieka... Cieszą się płuca, że oddychają głęboko... I serce się cieszy, że ustał nareszcie nieznośny ucisk, który je trzymał w swej władzy... I wszystkie tętna, doniedawna chłostane gorączką, radują się wespół z krwią, sprawczynią rumieńców...

A nad wszystkim — trwa jeszcze rozkoszna, słodka niemoc, która wyciska łatwe łzy...

Wysoko w niebie zanosily się skowronki, kiedy jechaliśmy na rezurekcję, do starego kościoła parafjalnego, oddalonego o trzy kilometry od Lipowej. Żona oświadczyła stanowczo, że będzie w kościele, mimo, że perswadowaliśmy wszyscy, że jest jeszcze za słaba, że nie powinna wstawać tak wcześnie, w chłodny, kwietniowy ranek... Napróżno prosiliśmy ją wieczorem.

Ale się uparła.

— Tak dawno nie byłam w kościele!

Potem dodała, patrząc na mnie prosząco:

— Przecież wiesz, Stachu, że tak lubię nasze nabożeństwo wielkanocne...

Pojechaliśmy tedy, we dwójkę, Lala i ja.

Matka żony miała się wybrać później, z Drouetką, na sumę.

Szron lśnił jeszcze na oziminach. Niskie, duże słońce różowiło pola łagodną jasnością. Było bardzo cicho. Droga kurzyła się zlekka — i miękko kołysał nas pojazd.

Patrzałem na Lale, szczelnie otuloną w futra, czułem, jak mnie przenika do głębi serca fiołkowej, głęboki cień, właściwy jej oczom, cień, po-

chodzący z barwy źrenic — i rzes długich, drogich mi oczu strzegących...

Nagle, jakby odbijając złote słońce, wznoszące się coraz wspanialej nad horyzontem — zapaliła się w oczach mojej żony iskra jedna i druga — i poczułem, jak się Lala do mnie garnie.

— Zimno ci, kochanie?

— Nie. Dobrze mi jest...

Jechaliśmy dalej w milczeniu, przytuleni do siebie, zasłuchani w tę osobliwą, nabożną ciszę, w suchy skrzyp kół powozu, sunącego po polnej drodze — i w świergot skowronków, radujących się gdzieś wysoko, wysoko.

.
Jest w kościele naszym szanowna, kolatorska ławka, którą odziedziczyłem w spadku po godniejszych przodkach. Wspierali parafjalny kościół różni panowie Lipowscy; fundowali niegdyś ołtarze, dzwony, ornaty i aparaty — nie tak, jak dziś, kiedy tam tylko od czasu do czasu na tacę coś spadnie — a proboszcz nieborak za całą dziesięcinę kościelną dostaje od nas cebulki hiacyntów... Ławkę jednak mamy — a w wielkie święta leży na niej nawet kilim odwieczny. Siedliśmy tedy w prezbiterjum, po lewej od ołtarza, właśnie

w chwili, gdy procesja ze światłami ukazała się przy wejściu głównem.

Zapełnił się niebawem mały kościółek tłumem gęstym. Kaszel ostry i oddechy zmęczone — szurganie wielkie nogami i ucieranie nosów — zapach biedy wiejskiej — i pierwsze dymy trybulaczy — napełniły nawę.

Stała obok głównego ołtarza straż ochotnicza, honorową pełniąca wartę w dniu Zmartwychwstania Pana, i zagrała przed amboną nasza orkiestra.

Snać nie odtajały jeszcze dobrze instrumenta pocziwych strażaków, którzy wysilali się przed chwilą na rannym mrozie; co uderzą w akord, to tak, jakby żelazem po szkłe pociągał... Im głośniej zagrają, tem fałszywiej... Ano, jak umieją, tak grają: na chwałę Panu...

Dopieroż odezwie się im z chóru stary Kosiński, organista odwieczny...

— O, Boże! Wielką jest Twa cierpliwość, że znosisz to wszystko!

Gra orkiestra Alleluja, wyciąga to samo Kosiński, przez nos, nieznośnym, zatabaczonym falsem: śpiewają ludziska, źle śpiewają — cóż robić?...

Westchnię przy ołtarzu ksiądz proboszcz, spoj-
rzy zniecierpliwiony na kościelnego. Rozumiem
jego spojrzenie:

— Złote chęci — ale fałszują, niedołągi, aż
w uszach ćmi...

.
Aż uciszy się w pewnej chwili ten rejwach nie-
zestrojonych trąb i pisk niemożliwy kobiet, i bu-
czenie chłopów, i marudne wyciąganie organisty...

I wtedy, ot, niespodzianie, spłynie z wyżyny
chóru — cicha muzyka organów. Staroświeckie
mamy organy w Klonowie, trochę głuche — bar-
dzo spracowane. Ale w rejestrach niektórych je-
szcze dziwnie czyste i szlachetnie brzmiące. Mu-
siał je budować majster nielada. Taki, co
się na muzyce organowej dobrze znał i wie-
dział, ile tchu włożyć w każdy głos, ile tężyzny—
i ile skrzypcowej iście nuty, żeby rozmowa
klonowskich organów z sercami ludzi chrześci-
jańskich pięknie wypadła...

Zaśpiewały tedy organy cicho — i uczyniło się
w kościele, jakby makiem zasiał.

Zaczęły opowiadać wysokie tony całą bolesną
historję męki Chrystusowej, potem zniżyły swą
opowieść do niskiego, groźnego szeptu — i po-

wtórzyły, słowo po słowie, jak Pan Jezus umarł na krzyżu i jak Go do grobu złożono...

Niedługo jednak trwał ten szept — bo oto zaszczebiotało coś w organach, jakgdyby właśnie śpiewanie skowronków, jakby wiosenna radość całych ptasich rzesz, i popłynęła melodia weselna, triumfująca, młoda i rześka.

— Alleluja! Pan zmartwychwstał!

I zakołysał się cały kościół klonowski, zakołysał się tłum wiernych, wybuchając, razem z organami, pieśnią wielkiego wesela.

— Alleluja!

Czy się instrumenta rozgrzały — czy co innego? hucznie tym razem i zgodnie odezwały się mosiężne trąby:

— Alleluja!

Na głowy ludzkie zaś, na chorągwie kościelne, feretrony, na ołtarz wielki, umajony zielenią — upadła w tej samej chwili złota włócznia słońca!...

Złota, piękna — jakoby świadectwo triumfu i zwycięstwa!

Razem z bocznych okien, zasłoniętych kolorowymi witrażami, posypały się rześiste rubiny i szmaragdy, topazy i szafiry — kolorując kościół klonowski wszystkimi kolorami tęczy...

.

Wracaliśmy do domu koło ósmej, bo trzeba było wstąpić do proboszcza na herbatę — a ta herbata, chociaż trwać miała momencik, przeciągnęła się niezgorzej. Nie sposób było oprzeć się gościnności księdza, chociaż, prawdę mówiąc, nijako jest kosztować placki bez gospodarza — a gospodarz jeszcze pościć musiał, bo o dziesiątej wychodził z sumą...

— Kochani państwo przecież nie odmówią?

Co było robić?

Kiedyśmy dojeżdżali do Lipowej, słońce już dobrze przygrzewało. Lala, mimo moich protestów rzuciła futro i jechała w samym tylko kostjumie. Przekomarzaliśmy się trochę, aż się Andrzej parę razy obejrzał z kozła.

— Kiedy pani dziedziczka wesoła — zauważył — to się nasz dziedzic w ten mig odmienia. Jakby kufer złota znalazł. — O!

Spojrzeliliśmy sobie z żoną w oczy. Może po raz setny tego pogodnego dnia... A Andrzej zebrał lejce, strzelił raz i drugi z bata (właśnie wjeżdżaliśmy w aleję lipową) i zapowiedział wesoło, zwrócony tym razem specjalnie do mnie:

— Jutro, za pozwoleniem jaśnie pana, spróbuję pierwszy raz opręgać ogierka!

Chciał mi Andrzej też przyjemność zrobić przy wielkiem święcie. — A może wyczuł, że między mną a moją żoną postanowiony został jakiś pakt miłosny — osobliwe Treuga Dei — i że się odtąd nie będziemy kłócili?...

Czekał już na ganku Feliks, odświeżenie od samego rana we frak ubrany — i uśmiechał się do nas zdaleka, podczas gdy powóz podjeżdżał przed dom, mieląc elastycznie złoty piasek, którym usypano front.

Feliks odpiął fartuch. Powiedział:

— Wesołego Alleluja!

Podał mi Lali rękę.

Wysiadła ostrożnie.

A Feliks, widząc osobliwą powolność mojej żony i szczególną moją troskliwość przy jej wysiadaniu, już tylko dla mnie, półgłosem, uzupełnił swe życzenie poważnem:

— ...I żeby się jaśnie państwu wszystkie życzenia spełniły!

W kwadrans potem siedzieliśmy przy stole, w małym, szczupłym kółeczku, podzieliwszy się jajkiem.

Jadalnia tonęła w kwiatach (zasługa poczciwej panny Drouet, która podczas choroby Lali opiekowała się szklarnią) — a stół wielkanocny ugi-

nał się pod słodkim ciężarem mazurków — (zaśluga teściowej!).

Musiałem kosztować pokolei różne arcydzieła czekoladowe, orzechowe, pomarańczowe i serowe — a nakońcu obezwładniono mnie mazurkiem królewskim, mimo że uznałem się za zupełnie zwyciężonego i jawnie prosiłem o pardon!

Pachniały mocno hiacynty, białe i blado-lila. Najpiękniej jednak prezentowały się tulipany: papuzie, szkarłatne — i gorąco żółte, z karminowymi żyłkami.

W odpowiedzi na moje komplementy i na podziękowanie Lali, panna Drouet spuszczała oczy, zupełnie, jakby się wstydziła bogactwa i przepychu tych kwiatów. — Miła Drouet'ka! Taka zawsze uczynna i skromna, jakgdyby wczoraj dopiero opuściła klasztor...

Po śniadaniu ubrały się obie panie — matka mojej żony i Drouet'ka — i odjechały z kolei do Klonowa, na sumę. Zapakowaliśmy im kilka doniczek z najładniejszymi kwiatami: dla proboszcza.

A potem usiedliśmy sobie z Lalą na ganku, w wielkim słońcu, gwarząc półgłosem o różnych sprawach gospodarczych i niegospodarczych.

W pewnej chwili Lala przymknęła oczy, oparła się o mnie ramieniem i powiedziała wstydliwie:

— Wielki będziesz miał ze mną kłopot, Sta-chu...

— Dlaczego?

Lala odwróciła głowę i wyznała swą tajemnicę szeptem, jak wielka grzesznica:

— Bo to wypadnie zapewne w same żniwa...

Całowałem ukochane, miłe ręce. Okrywałem je tysiącznemi pieszczotami. Walczyłem z niemęską pokusą łez, zbierających mi się pod powiekami...

A potem opanowała nas oboje słodycz niezmierna, najtkliwsza...

Nie zauważyliśmy nawet, że ścieżką parkową, od strony folwarku, steruje na bocianich nogach Napiórkowski, wyelegantowany i wielce ozdobny, przybrany w swój odwieczny surdut, pamiętający królową Wiktorję — i krawat najpiękniejszy, który mu, zdaje się, przywiózł przed dwudziestu laty mój ojciec nieboszczyk, wracając z Marjenbadu...

Zorjentowaliśmy się zbyt późno, że nas Napiórkowski widzi — a i on, biedak, spostrzegł nas ponieważ — i nie mógł już wykonać strate-

gicznego odwrotu — więc tylko stanął pośrodku alei, zmieszany — głowiąc się, co ma uczynić? Lala spłonęła, jak panna — szybko odsunęła się ode mnie, przerywając w ten sposób serję moich pocałunków.

Jeszcze bardziej zawstydził się Napiórkowski, którego przyrodzona dyskrecja została w ten sposób silnie narażona na szwank. Wybrnął więc z tej sytuacji we właściwy sobie sposób, szybko podchodząc do Lali i składając na jej dłoni pontyfikalny pocałunek:

— Coś mi się zdaje, proszę dziedziczki, że będziem latoś obchodzili chrzciny we dworze!

Jadło się potem jeszcze raz mazurki, częstowało Napiórkowskiego szynką i roladą, a wreszcie, po wyczerpaniu programu zwyczajowego obżarstwa, zatopiliśmy się w rozważaniach o jarzynach i oziminach, o tegorocznych paśnikach, o stanie obory i chlewni.

Są to tematy fascynujące — a w odniesieniu do naszego rządcy, wprost wiekopomne.

Więc zabłakaliśmy się zupełnie w labiryncie kwestyj, budzących namiętne dyskusje:

Czy dobrze się stało, żeśmy w tym roku przeznaczyli jeden szlak jarzyny pod okopowe?

— I które kartofle będą lepsze: te na oborniku,

czy też te drugie, „po sobie“, z dodatkiem soli potasowej?

— I jak postąpić z pszenicą: dawać zaraz po świętach drugim cynkiem brony, czy też poczekać jeszcze tydzień, aż się dobrze ociepli?

— I co poczynać z lucerną przekłętą, której z pod chwastów wcale nie widać: skasować bestję niewdzięczną, zaorać głęboko i zasadzić na lucernisku buraki pastewne? albo może lepiej pobawić się jeszcze z zielskiem i wpuścić tam ludzi z graczkami na jaki tydzień?...

Co do pierwszej kwestji, nie mogliśmy się zgodzić z Napiórkowskim, bo gdyby to od niego zależało, obsadziłby cały majątek kartoflami od granicy do granicy — nawet, bez obrazu, zasadziłby niemi ogród. — „Bo te tam różne selerki i karotki, to tylko gnój zjada — a potem w kopcach gnieje, i ogrodnik, złodziej, pokryjomu do miasteczka wywozi, a córki swoje w kapelusze ubiera, że wprost zgorszenie, bo niedługo już i dójki w kapeluszach zechcą paradować...“ Pszenicy wogóle jeszczeby Napiórkowski nie bronował, gdyż wiosna cygani, a jak się korzonki odsłoni, to więcej z tego będzie szkody, niż korzyści... A z lucerną jest sprawa osobna! Trzydzieści pięć lat gospodaruje Napiórkowski, ale jeszcze nie pamięta, żeby

się kiedy udała. Miał podobno przed laty dobrą lucernę pan Dobrzyński w Dobrzyniu, ale to nie przykład, bo tam „wogóle ziemia jakaś osobista, holendersko-szwajcarska, no, i wapna w roli coniemniara, jak pod Częstochową!”

O krowy bylibyśmy się pokłócili, i dwa razy już Napiórkowski wstawał i chciał iść do domu...

— Co innego inwentarz głodzić, a co innego znów — złotem karmić! Za złoto stanowczo nie zapłacą, bo są, z przeproszeniem, głupie tylko bydlęta...

Złotem nazywał Napiórkowski moją nową metodę karmienia, czyste, zdaniem jego, utracjuszostwo.

Rozumiem jeszcze w zwyczajnym roku, ale latoś, kiedy wszystko takie drogie! (Argument ten powtarza się rok rocznie.)

Na to mu odpowiedziałem, że zastałem w Lipowej same skóry, a teraz mam oborę licencjonowaną, i mleczność krów wzrosła o 150 procent...

Dyskusja się zaogniła, bo Napiórkowski, ponosowy, replikował, że chociaż dawniej krowy w Lipowej całemi wagonami kuchu i otrąb nie żarły, to się też zdrowo chowały, a gnoju było więcej.

Na co znów ja, dotknięty do żywego, chciałem odpowiedzieć, że dawniej do Lipowej należało

pięć folwarków i było dwieście morgów łąk, które zjadły potem serwituty.

Ale Lala zaczęła na mnie mrugać, więc zamknąłem dyskusję.

Napiórkowski przez chwilę jeszcze sapał i prychał, ale, że właśnie powróciły panie z kościoła i przywiozły ze sobą proboszcza, zaczęła się nowa serja życzeń, dzielenie się jajkiem, wódeczka, święcone, barszczyk — i tak zeszło do zmierzchu.

Potem, na wniosek proboszcza, siedliśmy we trzech do preferansa — i wlepili mi obaj moi partnerzy taką ilość kur, że trzeba było aż interwencji Feliksa, żeby uratować dziedzica przed ostatecznem bankructwem...

Proboszcz przy herbacie krztusił się do łez, opowiadając moim paniom, jak wpadłem na ośmiu pikach bez trzech, a Napiórkowski rzucał na mnie od czasu do czasu litościwe spojrzenia, pomrukując tylko:

— No, rzeczywiście... Rzeczywiście!

O siódmej odjechał proboszcz, Napiórkosio pożegnał się — i zostaliśmy sami. Teściowa i Drouet'ka odeszły wcześniej do swoich pokoi — a myśmy poszli z Lalą do biblioteki czytać — czytać razem, pierwszy raz od niepamiętnych czasów.

XVIII.

Okwitły już w naszym sadzie czereśnie, grusze i jabłonie. Okwitły po drogach upajające czeremchy. Przeminęła zamięć płatków białych i różowych...

Wykłosiły się żyta.

Jak okiem sięgnąć falują ciemnozielone łąny, po których lekki, zachodni wiatr przebiera niewidzialnymi palcami.

Wszystko w tym roku jakieś ładniejsze, sutsze, inne...

Dawno już nie mieliśmy takich ozimin, idących w górę, jak wesoła burza. Dawno nie było w Lipowej tak znakomicie zapowiadających się jarzyn, rosnących równiutko, bystro...

Nawet przekłeta ognicha, szpecąca u nas rok rocznie wygląd pól, nie zdążyła się ująć w tym roku: zagłuszył przebrzydłe, żółte zielsko szybki wzrost zbóż. Nie zmrozili nas również trzej ogrodnicy: Pankracy, Serwacy, Bonifacy...

Ileż razy uskarżaliśmy się na tych świętych, szczególnie dokuczających polskim rolnikom!

Byli wyjątkowo łaskawi.

Wprawdzie zaczął zawiewać od wschodu ostry, przykry wiatr, budzący pewne obawy — wprawdzie kurzyło się i kotłowało przez dwa dni na drogach — a Napiórkowski, mizantrop, pogadywał zgryźliwie:

— Dadzą nam w skórę, jak amen w pacierzu!

Ale w ostatniej chwili namyśleli się śnać Święci i przyszedł do wniosku, że specjalnie w tym roku nie godzi się zasmucać ludzi w Lipowej...

Skończyło się na małym strachu.

Wiatr obrócił się, potem upadł. Przez noc ociepliło się znacznie, a nad ranem, koło świtu, zaczął kropić równy, dobrotliwy deszczyk.

Spłókał kurz i pył, odświeżył zieleni pól i rozpostarł w powietrzu oszałamiające wonie...

— Niech sfabrykują w Berlinie taką perfumę! — pociągał nosem Napiórkowski: — To jest zapach!

— Panie Napiórkowski. Pan o Paryżu myślał?

— Właśnie nie, panie dziedzicu.

Nie polemizowałem z Napiórkowskim. Niemcy są w jego mniemaniu autorami wszystkich cu-

dów mechaniki; a że słyszał kiedyś o tem, jakoby perfumy można było dystalować z torfu — i widział dobre prasy do torfu, niemieckiego wyrobu — zbudował sobie syllogizm dość krzywdzący dla firm Houbigant, Cotty, tudzież Caron...

A zapach szedł od pól istotnie przecudowny. Płuca wdychały go z lubością. Nawet zwierzęta reagowały na łaskocące i rzeźwe wonie...

Parskała wesoło moja wierzchówka — par skał solidnie wałach pana rządcy.

.
Kłusowałem potem miedzą polną, między szlakiem ciemnej pszenicy i ostrą szczotką jęczmienia, świecącego się już miejscami pierwszym, kędzierzawym jedwabiem...

Na skrzyżowaniu dróg, koło naszego jeziora, tuż, nad wodą, pojechałem wolniej. Najprzód śliskiem, trawiastem uwrociem — potem ubitym piaskiem, okalającym brzegi błękitnej wody.

Klaczka przebierała sprężyste nogami i porywała się ustawicznie do szybkiego biegu. Wyrzucała z fantazją kształtną główkę, jakby akcentując tem swoją młodość i urodę... Kokietowała!

W pewnem miejscu, przed wąskim strumykiem, wynikającym na przestrzeni kilkunastu kroków jakby z pod ziemi — był tam ukryty w trawie,

nico już zarośnięty, wylot drenów — wierzchówka nagle zawahała się, a potem udała okropne przerażenie: przysiadła na zadzie, skręciła raptem w bok.

— Ho! Baśka!

Ściśnięta lekko szenklami i zmitygowana mundsztukiem, klacz poświadczyła zaraz, że to był z jej strony tylko niewinny żart: zebrała się jak najstaranniej i skoczyła gładziutko przez bełkoczącą wodę — trochę za wysoko — trochę za daleko — słowem, jeszcze głupio, ale bardzo ładnie!

Wiem, że to śmieszne — ale miałem serce zbyt przepełnione tą pogodą, tem słońcem — i rozkoszą ruchu...

Zacząłem rozmawiać z Baśką.

— A wiesz, że jesteś niemądra?

Baśka parsknęła wesoło.

— I nie wstyd ci bać się wody, maleńka?

Baśka zaczęła mnie prosić, żebym jej pofolgował: najprzód spróbowała skoczyć w galop z prawej, potem, skarcona przeze mnie — z lewej.

Oddałem jej cugle.

Frunęła z miejsca, jak sprężyna, wyciągając rasową szyję i biorąc odrazu ogromne tempo.

Pochyliłem się nad karkiem klaczy, wciągając w nozdrza ostry pęd wiatru...

Przymknąłem oczy...

Baśka rozsmakowała się w cwale, który upajał ją tak samo, jak mnie... Z pod kopyt jej pryskał ostry piach i żwir nadwodny... Płoszyliśmy w biegu czajki, nawołujące się nad trzciniami...

I tak lecieliśmy przed siebie, okrążając ciche, spokojne jezioro, coraz dalej i dalej, het, aż pod gościniec i bór, okalający Lipową z północy.

Wróciłem do domu trochę zdyszany, rozgrzany jazdą, ale szczęśliwy, jak człowiek, który wygrał wielki los na loterii.

— Fe, Stachu! Spóźniłeś się na obiad o całe pół godziny...

Przepraszałem Lale bardzo potulnie.

Zaśmiała się.

— Nie dostaniesz za karę chłodniku.

— To dziś chłodnik na obiad? Błagam o przebaczenie!

— Zobaczymy...

Chłopiec stajenny biegł na przelaj przez gazon, żeby odebrać konia.

— Bywaj!

Dobrze jest czasem krzyknąć z pełnej piersi, ot, tak, bez większej potrzeby, z nadmiaru życia!

Lala zauważyła pocichu, gdyśmy wchodzili do domu:

— Straszny jeszcze dzieciak z ciebie.

Przysunąłem się do niej blisko i zapytałem, uśmiechnięty:

— Czy to bardzo źle?

Zaczęła potrząsać głową, dając mi do poznania, że nie — że to nic złego...

.

W odwieczarz wyszliśmy razem na folwark — i obchodziliśmy pokolei stajnie, oborę, chlewy — całe podwórze.

Ludzie nasi nie widzieli od kilku tygodni dziewcziczki i witali się z nią szczególnie serdecznie. Lale lubią bardzo. Ma w sobie coś takiego, co nakazuje respekt — a jednocześnie przyniewala...

Musiały się roznieść niewątpliwie przez dworski fraucymer wiadomości o niedomaganiu mojej żony. Mogło się także przedostać na folwark coś więcej: każdy ewenement we dworze wiadomy jest przecież i służbie. Może gospodyni — może pokojowa — szepnęła gdzieś — komuś — że dziedzic z dziedziczką się gniewa... To też, widząc nas, idących obok siebie, w oczywistej, serdecznej komitywie, akcentowali ludzie nasi mimowoli swą uciechę...

Wicek pochwalił się żrebakiem, którego uro-

dziła przed dwoma dniami kasztanka z jego fornalki.

Antek, drugi fornał, rywal Wickowy, zameldował ze słuszną dumą, że „Jaworowska“ (nie pamiętam już, kto tak ochrzcił szronkę) przez tyle lat niepłodna, będzie tym razem na pewno miała żrebaka.

— „Choć to taka twarda, cholera, że się i z rzędownym ogierem nie odbiła, dopiero jej Fizyk dał radę!“

„Rzędowny ogier“ okazał się istotnie marnym reproduktorem. „Fizyk“ — ogierek naszego sąsiada, chłopa, jest bardzo stanowny. Inna rzecz, że nie budowałbym wiele na tym potomku starej, upartej szronki i pokracznego „Fizyka“. Ano, wyraziliśmy fornałowi w każdym razie nasze uznanie...

Wszyscy chwalili się dziedzicze swoją pracą, swojemi uczciwemi zasługami, powiększeniem się dobra, przyrostem dobytku.

I wszystkie relacje kręciły się stereotypowo koło spraw prokreacji, koło już odbytych — albo mających się odbyć — rozwiązań...

Więc pastuch najstarszy, Dobrowolski, brudny, jak czarna ziemia, mimo wielokrotnych naszych perswazyj i wstydy — nieszorowany nigdy...

Więc Stępień, wychowawca świńskiej młodzieży, człowiek niezwykle pracowity... Więc pisarz wreszcie, wielki cygan, a potrosze może i złodziej, ale chłop sprytny i użyteczny...

Pokazywali Lali cieleta, które się „uległy” w tym miesiącu. Chwalili się, że taki dobry rok latoś mamy, że tylko trzy byczki przyszły — reszta, same jałoszki; doskonale umaszczone, wążące dużo, wogóle, „galante”.

A potem dopiero wykład Stępienia — wykład, ilustrowany rozdzierającym kwikiem podświnków — i zgoła małoletniego świństwa, wyciąganego z boksów za uszy, ku wielkiemu oburzeniu chrząkliwych macior...

Na zakończenie — niezwykle zręcznie skonstruowane „Expose” pana pisarza, przełożonego skrzydlatego ptactwa, chowającego się pod dozorem jego najwłaśniejszej małżonki.

Z wykładu tego wynikało, jak na dłoni, że chociaż efekt tegorocznej hodowli kur, kaczek, indyk i perlic nie stoi w żadnym stosunku do wydanej ilości pośladków — to niemniej w najbliższym czasie spodziewać się możemy ogromnego przyrostu tychże kur, kaczek, indyk i perlic...

Pisarz łgał jak najęty i strzelał oczami, ale

słuchało się go nie bez pewnej satysfakcji: ostatecznie każda zgrabna improwizacja imponuje...

Stało na tem, że kasa wyasygnuje złotych pięć na trutki dla szczurów, które rzekomo wydusiły dużo ptasiej młodzieży — poza tem zaś, żeby ta smutna ziemia nie robiła za bardzo konkurencji rajowi — zakomunikowałem pogodnie panu pisarzowi, że zanim spodziewany fenomenalny przyrost w kurnikach nastąpi, ograniczymy znakomicie wydatek ziarna.

Słowa moje zostały przyjęte bez entuzjazmu, z pełną godności melancholją, ale posłusznie...

.

Wyszedł potem na niebo duży, różowy księżyc, zaczerwieniony, jakgdyby mu ktoś przed chwilą opowiedział nieco swawolną anegdotę.

Wracaliśmy do domu.

Ogród pachniał rosą.

Od grobli dolatywał szczęśliwy rechot żab... Zdala, od gościńca, dobiegały nas od czasu do czasu stłumione tęsknoty...

Kiedy stanęliśmy na ganku, uciszyły się na chwilę odgłosy, rechoty, turkoty — i wtedy zaśpiewał słowik.

Najprzód nieśmiało, skromniutko, jakby wstydząc się tego, co nam za chwilę opowie...

Potem głośniej, czyściej...

A wreszcie — w perlistych gamach i ozdobnikach, w krzysztalowych fioriturach — popłynęła słowicza pieśń o miłości...

.....
Nie mieliśmy sił oderwać się od tego czarującego koncertu.

Nie miał również sił Feliks, który się był ukazał za nami w pewnej chwili, dosyć nachmurzony, i miał już na ustach surowe:

— Proszę jaśnie państwa, kolacja od godziny stygnie...

I on nie mógł się oprzeć słowikowi.

Stał za nami w cieniu, nic nie powiedział, tylko się oparł o drewnianą kolumnę ganku — i zasłuchał.

Litwin przecież! Z tej samej krwi, co król Jagiello!

Pierwszemu słowikowi odpowiedział drugi, drugiemu — trzeci — aż zaczęły się pokolei odzywać wszystkie słowiki: te z nad młyna — i te, z wysp na jeziorze — i te inne, mieszkające w jaśminowych gąszczach naszego ogrodu...

Wszystkie słowiki z Lipowej!

.
A na niebo wytoczył się tymczasem księżyc,
już zupełnie pobladły z zachwyty — i rozsiewał
srebro promieni w milczącej egzaltacji...

XIX.

— Ach, jakże mi Lala utyla!

Patrzę na nią ukradkiem, codzień z rana, gdy mówimy sobie dzieńdobry — i nie mogę wyjść z podziwu.

— Co się stało?

Właściwie to nie jest podziw: to osłupienie...

Im prostsze są pewne rzeczy, tem nas bardziej uderzają. Tak i ze mną. Przypominam sobie mimowoli dawną, dziewczą Lale, smukłą, wiotką, taką jakąś przedziwnie panieńską i dziewczęcą — i cofam się mimowoli przed rzeczywistością...

— Czyżby mnie ta rzeczywistość przerażała?

Nie. Przeciwnie!

Wprost objąć nie mogę mojego — naszego — szczęścia... Pragnąłem zawsze mieć dziecko; sama myśl, że zostanę może kiedyś ojcem, że będę tulił do piersi takie niezaradne, śmieszne maleństwo, napawała mnie dumą i wzruszeniem...

— A jednak...!

Co innego teoria, co innego — praktyka. Co innego macierzyństwo w literaturze, czy poezji — a co innego — życie.

I takie to wszystko dziwnie brutalne, groteskowe, niezwykle...

Lala ogromnie brzydła. Wprost z dnia na dzień.

O ile przedtem nic po niej nie było znać — teraz już zdaleka widać, że będzie matką.

Kiedy wychodzimy razem na spacer (doktor zalecił jej, oczywiście, jak najwięcej ruchu) — kiedy schodzimy z kilku stopni ganku, czy też idziemy obok siebie wygodną ścieżką parkową, mam wrażenie, że towarzyszę kobiecie znacznie od siebie starszej, przytem w tajemniczy i przykry sposób — zdefigurowanej.

Mogę sobie powtarzać po sto razy dziennie, że moja żona znajduje się w błogosławionym, zaiste, stanie — że nosi pod sercem owoc naszej miłości — i że niezadługo za jej sprawą dokona się najistotniejsze, najświętsze misterjum, jakie daniem jest oglądać ludzkim oczom...

Tak, to głos sumienia.

Ale oczy moje nie mogą się pogodzić z wyraźną ociężałością Lali.

I słuch mój buntuje się namiętnie, chwytając

jakieś nowe, zgoła obce nuty w głosie mojej żony.

— Przytem nerwy!

Lala zrobiła się strasznie wrażliwa i kapryśna. Z byle jakiego powodu płacze. Wybuchu nadzwyczaj łatwo.

Wiem, że to bywa, wiem, że to jest prawie nieodzowne i ściśle związane z jej stanem — ale niemniej denerwuję się tym stanem i buntuję z całej duszy... Jest coś wysoce upokarzającego w refleksji, że jednak między ciężarną kobietą a ciężarną samicą zwierzęcą — niema prawie różnic...

Jest jakiś gorzki paradoks w oczywistym efekcie ludzkich uniesień — gorących jak lawa, wstydliwych, jak wczesny kwiat — a potem — potem — — — tak cynicznie, jawnie odsłoniętych przed oczami ludzi...

Odczuwam chwilami jakby ból — że to, co się działo pomiędzy mną a moją żoną, to, co było iskrzącem się szczęściem, wlecze się teraz za nami, jak pospolity, szary dzień...

I że my oboje — Lala i ja — zupełnie nie różnimy się od Wicków, fernali... Doniedawna dzieliła nas przepaść.

Wickowie spali w dusznej, ciasnej izbie, na jednym jedynym łóżku, okrytem niebosłęzną pirami-

dą trywjalnych poduszek—myśmy sypiali w osobnych, wykwintnych sypialniach, rozdzielonych od siebie białą, jak śnieg, łazienką...

W pokoju Lali unosił się nieuchwytny, czarowny zapach pięknej, zdrowej, idealnie utrzymanej kobiety — w moim pokoju pachniał trochę tytoń, trochę dobra woda kolońska...

Każde słowa, każdy gest Wicków — były prymitywami. Zarówno rozmowy o czarnym chlebie, jak i (zapewne) — rozmowy ich o miłości.

Nasze rozmowy — o, wielka przestrzeni! — miały zapach kwiatów, napięcie piorunów, dowcip, świetny, jak sama młodość.

— A teraz co?

Lala jednych rzeczy nie je, bo jej szkodzą, innych domaga się łapczywie, jak zwierzątko...

Matowa biel jej ślicznej twarzy znikła...

Oczy ma podkrążone, bez blasku, żółtawe plamy na policzkach, ruchy leniwe i ciężkie...

I teraz dopiero, poniewczasie, rozumiem, jak śmieszne — i beznadziejne zarazem — były mimowolne, instynktowne nasze odruchy — odruchy „ludzi wyższej rasy“.

Teraz przypominam sobie wszystko, co sły-
szałem, lub czytałem o ofiarach rewolucyj, ru-
chawek ludowych i przewrotów...

Tak jest! Dziewięćdziesiąt pięć procent tak zwanej kultury sprowadza się do dobrobytu!

A pozostałe pięć — zapewne do fizjologii...

Powtarzam sobie sto razy na dzień, że jestem wprost śmieszny. Jeżeli nie zły!...

A mimo to, nie umiem opanować chwilami uczucia niesmaku.

Jak to dobrze, że legendy wielkiej poezji przekazały nam cierpiące królowe i margrabiny w świetle księżyca! Jak to dobrze, że nie wiadano wówczas nic o realizmie!

Ominęła nas wskutek tego przykra wiadomość o Dziewicy Orleańskiej, srodze zapewne cuchnącej — i o zawszonych arystokratkach, więzionych w kloacznych celach Komuny...

Jak to źle, kiedy się legenda miłosnego stosunku rozwiewa!

Myślę chwilami, że należałoby kobiety ciężarne wywozić na odludne wyspy.

A mężów ich posyłać na dłuższy okres czasu do kolonij, albo na wojenne wyprawy...

Wówczas stawalibyśmy pewnego dnia, pewnego cudnego dnia — wobec fait accompli. Żona nasza zjawiałaby się w jakimś ogrodzie, w jakimś

drżącym warkoczem słonecznym — z małą dzieciną u łona — i wszystko byłoby po grottgerowsku idealne — i nierealne...

Naturalnie, za jakąś gęstą skupiną jaśminów, musiałyby w odwodzie czekać piastunka, bo przykro jest przecież miażdżyć w uścisku kobietę, która ma piersi wezbrane, jak mamka, i musi stosować kilka razy dziennie specjalne zabiegi, żeby pozbyć się nadmiaru pokarmu...

Tak jest. Jeżeli ma być koniecznie Grottger — kobieta nie powinna sama karmić, chyba — symbolicznie...

Bo ten ruch — do piersi — jest, mimo wszystko, ładny.

Hm...

Najlepiej, żeby wcale nie rodziła. Żeby nie rodziła osobiście. Żeby to mógł za nią ktoś wykonać. Żeby się kobiety z lepszych, subtelniejszych sfer — nie bratały z Wickowemi...

— ?

.

— Czy ja bardzo zbrzydłam, Stasieczku?

Lala stoi przede mną, ubrana w jedwabny ko-

stjum jasno-lila, w kostjum z surowego jedwabiu, w którym jej było niegdyś ślicznie.

— Cóż mam powiedzieć?

Zbrzydła — Boże! — I jak jeszcze zbrzydła!

Barwa delikatna, jak kolor pewnej odmiany bzu — podkreśla tylko niezdrową jej cerę... Kostjum brzydko opina się z przodu...

Spostrzegam w tej samej chwili jeszcze jeden szczegół: oto w klapie kostjumu umieściła moja biedna Lala, najniefortunniej w świecie, jakiś kwiatek... I ta niewinna kokieteryja wygląda w tych warunkach wprost okropnie!

Oczy Lali są pełne trwogi i zapytania...

Zarazem, jest w nich w tej sekundzie jakiś pokorny i trochę żałosny wyraz... Teraz już nie wiem, co się ze mną dzieje! Ogarnia mnie straszliwy żal — i wstyd. Litość, szarpiąca wszystkie nerwy, litość najtkliwsza, przeogromna, rozdziera mi serce...

— Biedactwo moje małe!

Otaczam ją ramionami. Nie mówimy nic.

Oto czuję, jak mi się powolutku, powolutku, wlewa do serca jakaś nieznana, niezbadana substancja. Słodycz niezmierną czuję — i jednocześnie dojmujący ból.

Wiem, że to, co się wsaczyło we mnie — jest

najczystsą zasadą... Miłości. Nie masz we mnie nic w tej chwili, tylko to właśnie jedno: Miłość.

I ogarnia mnie najprzód zimny strach, potem— wstyd.

Więc tak. Przez tyle, tyle dni była ta kobieta dla mnie tylko — samicą. Przez tyle tygodni, miesięcy, była tylko rozkoszą.

Gotówem był wyrzekać się jej w duszy, gotówem był uciekać od niej w bezbrzeżnym egoizmie męskim — dlatego tylko, że jej kibić nie jest dostatecznie wiotka, że jej oczy niedość błyszczą, że niedość różowe są policzki i niedość kuszące usta...

Pomyślałem:

— A jeżeli tak, jeżeli takie straszne odległości, takie olbrzymie dale przewędrowywać musi serce, zanim zobaczy wąły rąbek cudu — to jakimż nieopisanie wielkim, jakim zachwycającym jest ten cud, pociągający nas z otchłani...?

— Czy ja bardzo zbrzydłam, Stasieczku?

.

Już nie wiem, czy zbrzydłaś, Lulu! Nie wiem, czy bardzo, czy tylko troszkę! Wiem natomiast jedno:

Że mi ciebie dał niezrozumiale Dobry Bóg —

i że może przez ciebie — kiedyś — otrząsnę się
z pychy i głupoty — i stanę się godnym ciebie,
najukochańsza.

.

Tssss...

.

Ktoś bardzo piękny tu z nami jest... Nie trze-
ba go płoszyć...

—

CZEŚĆ TRZECIA.

XX.

Z dziedzińca folwarcznego wyjeżdża, podskakując na bruku, beczka na kołach: woda dla żniwiarzy.

Dwunastoletni Jasiek, z sezonowych, rozparł się brudnymi nogami na dyszlach. Niebardzo sobie umie radzić z koniem...

Co ujedzie kilka kroków, cmoka na ślepego wałacha:

— Wioooo!

Koń sobie, beczka sobie... Woda bulgoce i pluśka przez słomiany wiecheć, którym niedbale i nieumiejętnie otwór zamknięto.

— Pożal się Boże!

Wszystko, co żyje, na polu. Niema kim robić: odrazu wszystko dojrzewa. Fornale wożą do czterech naraz stogów; co zręczniejsze i silniejsze — poszło do kosy; dziewczuchy pobierają za

żniwiarzami; wszyscy prawie sezonowi — na stogach! Żar. Pali. Z nieba leją się roztopione strumienie słońca...

— Jasiek, hyclu jeden, wszystką wodę po drodze wytrzęsiesz!...

Smarkacz odwraca się do mnie, szczerzy zęby, drobne i białe, jak śnieg — i śmieje się głupio.

To z upału. Zupełnie go zmorzyło. Nie wie dobrze, co robi, nie wie, co do niego mówią... I koń ciągnie, jak nieprzytomny...

.

Na lazurowym niebie drżą ledwie widoczne iskry. Patrzę przez nawpół zmrużone oczy: ślepnę...

Przez sekundę nic nie widzę. Tylko jakiś srogi błysk w powietrzu: migotanie gorączki...

Siadam w jakimś rowie przydrożnym, zlany rześistym potem. Nie mogę dalej iść. Nie mogę się wprost ruszyć...

Mam na sobie tylko lekką koszulę tenisową. Mimo to, omdlewam.

Przechodzi mi przez głowę kilka myśli. Wolno. Niemrawie.

Pierwsza:

— 'Ja tu nie mam sił, żeby się podnieść na nogi — a oni od piątej rano mocują się ze szlakiem

żyta, które wyrosło jak las... Mocują się w ośmnaście kos — zginając grzbiety dwadzieścia razy na minutę... Z nimi pół kopy zaciągu... Pobiera... Stawia sztygi...

Druga myśl:

— Gdyby mi przyłożyli do skroni zimną stal rewolweru — nie ruszyłbym się z miejsca. Toż to piekło!

I jeszcze ostatnia myśl:

— Właściwie oni powinni rządzić ziemią...

Gdyby mi w tej chwili dano do wyboru: szklankę mrożonej oranżady — i cały nasz powiat — nie! — całe województwo! — wybrałbym oranżadę!

Błysk:

— Spieraliśmy się przed dwoma tygodniami o piętnaście groszy dniówki... Więcej, albo mniej... Właśnie o te piętnaście groszy... Udowodniłem moim ludziom z ołówkiem w ręku, że niepodobna płacić drożej, niż... Doprawdy, nie wiedziałem, że będzie tak strasznie gorąco...

Odgłos kopyt na drodze. Napiórkowski. Idzie, powłócząc nogami. Za nim koń, osiodłany. Rozpuścił mu popręgi, wyjął litościwie wędzidło... A i tak szkapa ledwo się na nogach trzyma...

Napiórkowski spostrzega mnie, podchodzi, siada ciężko na trawiastej szkarpie rowu, sapie...

Koń robi bokami.

— No, no... Skoro nawet Napiórkowskiego wzięło!...

Rządca odzywa się nagle:

— Przypieka...?

Ociera pot z czoła.

Nie odpowiadam mu wcale.

.
Turkot.

Aha, Jasiek. Wraca z próżną beczką. Patrzcie państwo: spory kawał czasu siedzę widać przy drodze?

Chłopak w przejeździe znowu uśmiecha się do mnie wesoło. Jest bardzo z siebie kontent. Bo jakże: dali go do koni!

Przejeżdża...

Słyszę, jakby z wielkiego oddalenia, głos Napiórkowskiego:

— Jakże tam pani dziedziczka?

Odpowiadam, niewiadomo dlaczego, półgłosem:

— Jeszcze nic...

.

Mam w uszach dziwny szum. Metaliczny, głuchy szum. Chwilami zdaje mi się, że to kosy klepią... To znowu doznaję wrażenia, że słyszę znów ten dziki krzyk...

— Krzyk Lali.

O, jakże mi zaschło w ustach...

Napiórkowski mówi:

— ...Pierwszy raz, to się wydaje nadzwyczajne, ale potem, zobaczy pan dziedzic, nawet się do tego przyzwyczaić można... Wiadomo, kobieta musi przy słabości pokrzyczeć... Taka już reguła...

(Boże, jak mi teraz pulsa biją w skroniach!).

— Moja żona, jak panu dziedzicowi wiadomo, rodziła sześć razy... Nie wiedziała przecież nieboszczka (świeć, Panie, nad jej duszą!) — że się z tego tylko dwoje uchowa. A przecież — — —

Dalej długo mi coś Napiórkowski, jak smarkaczowi, tłumaczy. Ale nie rozumiem z tego nic. Wiem jedno: od wczoraj, od dziesiątej, zaczęło się to piekło...

Najstraszniejsze, co się wogóle mogło było stać...

Moja żona zrazu, zdaje się, gryzła chustkę, żeby mi oszczędzić strachu... Ale potem, już nawpół z bólu przytomna, zaczęła krzyczeć...

Ten krzyk — raz cichy — to znowu głośny — rozdzierający — doprowadził mnie do jakiegoś szaleństwa. Uciekłem rano z domu, zostawiając Lale na opiece matki, akuszerki i służby. Tak jest. Stchórzyłem... Nie mogłem sobie poradzić z jej krzykiem... To jest zupełnie nie do zniesienia. To jest straszne...

.
Idę szeroką, piaszczystą drogą, prowadzącą do dworu. Po obu stronach wałów przydrożnych, zastygłe w spiecu, stoją zakurzone, przywiedle kasztany. Od cienia do cienia się posuwam — wolno — oszukując czas — i siebie. Usiłuję wmówić samemu sobie, że niewiele czasu minęło od chwili, kiedy się ukradkiem, jak złoczyńca, wymknął z domu...

— Co to?

Na moje spotkanie biegnie ktoś ze dworu. Tak! Biegnie! Jakże szybko...

Przyśpieszam kroku. Czuję, że serce we mnie zamiera. Za chwilę —

Zaczynam biec. Mimowoli. Bezwiednie.

I tak pędzimy jedno naprzeciw drugiego.

Robią mi zdaleka jakieś gesty... Dają mi znaki... Co to znaczy? Czyżby nieszczęście. I któraż to z dziewczyn dworskich, ostatecznie? Jagna? Zośka?

Czy też — — —

— Marychna!!!

Zadyszani, dopadamy do siebie. Marychna przez sekundę łapie oddech. Pierś jej dyszy gorączkowo. Wyrzuca z siebie jednym tchem, gwałtownie:

— Stasiu, masz syna!

Poczem oboje zawracamy i zaczynamy biec w stronę domu, jakgdyby nas goniły furje — —

— Mam syna! — Świat zaczyna wirować dookoła i wszystko huczy radością!

Nie wiem, skąd się w tej chwili właśnie znalazła w Lipowej... Nie wiem, kiedy przyjechała...? Zapewne przed godziną...? A może rannym pociągiem...? To prawda, że uciekłem z domu wcześniej... Może być już od kilku godzin...

.

Marychna biegnie obok mnie, wyężdżając wszystkie siły, żeby nadążyć.

Dopiero teraz orientuję się, że Marychna ma na sobie kostjum podróżny i kapelusz. Oczywiście, dopiero co wysiadła z powozu. Że też nic nie wiedziałem o jej przyjeździe...

Biegnać, potrącamy się od czasu do czasu... mimowolnymi ruchami...

~~—~~ Marychno...

— Co?

— Jak Lala?

— Wszystko dobrze!

Zbiegamy teraz z góry, Marychnie widocznie zaczyna brakować tchu... Była zarumieniona z wysiłku i gorąca — teraz nagle blednie — chwyta się za serce — — —

— Nie mogę tak prędko, Stasiu — — Biegnij naprzód — ja zaraz za tobą — — —

Kiwam głową, biegnę dalej. Serce wyszło mi do krtani. Odczuwam coraz większy brak powietrza.

Park.

Cień!

Zdaleka widzę na ganku Feliksa. Wykonywa jakieś — tak mi się przynajmniej zdaje — alarmujące ruchy. W kilku susach jestem przy nim.

— Wszystko dobrze, proszę jaśnie pana.

—

— A jakże — śmieje się do mnie pocziwy Feliks: syn!

Mówi to z naciskiem i triumfem, zarazem tak, jak się potwierdza wieść sporną i długo kwestjonowaną. Zmarszczki na twarzy starego zebrały się w jakiś promienny grymas; rusza wąsami...

— To dobrze, że chłopak, proszę dziedzica!
Postarała się pani dziedziczka!

Dom dziwnie cichy i pusty. Idziemy z Feliksem na palcach.

— Spotkał się jaśnie pan z panienką?

— Tak. Pierwsza mi dała znać...

— Złota panienska! Ledwo wysiadła przed gankiem i dowiedziała się, jaką mamy radość, zaraz pobiegła szukać pana dziedzica...

— Była depesza?

— Tak. Starsza pani wczoraj jeszcze odebrała.

— Aha — — —

Przed sypialnią Lali szepty. Wszystkie kobiety z fraucymeru. Na mój widok popłoch, potem uradowane uśmiechy — — —

Podchodzę z walącem sercem pod drzwi sypialni, naciskam je zlekka, otwieram.

W półmroku widzę Lalę na łóżku — a obok niej teściową i jeszcze jakąś kobietę, która trzyma na ręku coś niedużego, owiniętego w białe chusty...

— Synek nasz!

Jestem nawpół tylko przytomny. Klękam przy Lali, potem obcałuję ją po rękach, potem sły-

szą za sobą żałosny jakiś pisk — cichutkie kwilenie — i widzę, jak się Lala z wysiłkiem chce obrócić na poduszkach...

Matka mojej żony mówi bardzo wzruszonym głosem:

— Chodź, zobacz malutkiego...

Nachylam się nad moim synem — i płaczę, jak dziecko...

XXI.

Feliks jest nadzwyczajny. Powiedział dziś o małym: — panicz.

— Gdzie panienka, Feliksie?

-- Panienka jest przy paniczu, proszę jaśnie pana.

.
Nasz syn skończył wczoraj dwa tygodnie. Po dość burzliwej dyskusji, która miała miejsce bodaj nazajutrz po radosnym momencie i która odbyła się, oczywiście, bez udziału Lali, jeszcze bardzo słabej, zarysowały się w domu dwie partje, zdecydowanie wrogie i namiętnie się zwalczające: teściowa — i ja.

Teściowa zaopiniowała dosyć arbitralnie, że małego trzeba będzie hartować już od pierwszych dni jego życia i że kołyskę dziecka ustawiać się będzie przed domem, w cieniu lip, albo na tarasie od strony jeziora, oczywiście, o ile pogoda — no, i Lala — na to pozwoli.

Mnie wydał się ten projekt niesłychanie ryzykownym. Wogóle, kiedym się zapoznał bliżej z moim synem, doznałem uczucia strachu. Wiedziałem przecież, że niemowlęta są delikatne i słabe, jak kwiaty... Nie przypuszczałem jednak, że są do tego stopnia mikroskopijne i kruche...

Uradziliśmy obaj z Feliksem, że będziemy się bronili z całych sił przeciwko niesłychanym zamachom starszej pani. Jeżeli chcą robić eksperymenty, niech je sobie robią na innych maleństwach, nie na naszym paniczu!

Liczyłem przytem na oczywisty sukurs Lali. Ale spotkała mnie niespodzianka.

Żona moja przyłączyła się bez wahania do zdania teściowej, motywując to głosem słabym, ale stanowczym:

— Stasieczku. Mama się przecież na wychowaniu dzieci zna lepiej od ciebie.

A gdy zacząłem zrazu oględnie, potem dosyć gwałtownie wyluszczać moje obawy o małego, odpowiedziała mi Lala z niezwykłą energją:

— Chyba mama i ja kochamy go niemniej od ciebie?

Zamilkłem. Cóż miałem odpowiedzieć?

Marychna, Drouet'ka i wszystkie kobiety we dworze stworzyły wspólną platformę, na którą

musiałem się ostatecznie zgodzić — pozostając, jak zwykle, z Feliksem w mniejszości.

Skutkiem takiego obrotu spraw, znalazła się Lala w dziesięć dni po przyjeździe na świat małego — przed domem, na wielkim, wygodnym fotelu, wysłanym poduszkami — a obok niej znalazła się nasza odrobinka, śpiąca smacznie w białej, jak śnieg, kołysce.

Siedziałem przy nich, wpatrując się, jak urzeczony, w to małe, malutkie „Coś“, które, nie będąc jeszcze właściwie człowiekiem, potrafiło w przeciągu kilku dni rozszerzyć obwód mojej klatki piersiowej do ostatecznych granic...

Dzień był słoneczny i ciepły, ale nie skwarny. Cisza panowała przed domem. Lala, już trochę zdrowsza, zlekka zarumieniona, przenosiła rozradowane, jasne spojrzenia z małego—na mnie—i naodwrot.

Kilka razy zajrzał Feliks zupełnie zbity z tropu nowoczesnym systemem „hartowania“ pańskich dzieci... Odwołał mnie nawet pocichu na stronę i prosił, żebym zakomunikował dziedzicze, że się „na zachodzie coś jakby chmurzy“...

Niewinny fortel Feliksa nie dał spodziewanych wyników, bo zaraz wyruszył niewieści podjazd na drugą stronę domu...

Zbadano pilnie horyzont i zameldowano Lali, że nic się nigdzie nie chmurzy, a niebo jest jak marzenie...

Towarzyszyły temu ściszone śmiechy i dosyć rozbawione spojrzenia, któremi panie obrzucały zarówno mnie, jak i mojego jedyne go sprzymierzeńca, Feliksa. I tak przespał sobie malutki okrągłe dwie godziny pod gołym niebem.

Zbudził się potem i zawołał „wielkim głosem“, że chce jeść.

Lala rozkazała mi, żebym się odwrócił. (Nie umie jeszcze karmić, a oprócz tego zrobiła się dziwnie wstydliva.) — I dała dziecku piersi.

Syknęła przytem mimowoli raz i drugi, bo ją podobno ta operacja jeszcze trochę boli.

A mnie przypomniła się całkiem niespodzianie pewna chwila w stajni przed kilkoma laty, kiedy ożrebiła się po raz pierwszy ulubiona nasza wierzchówka, Baśka, i miała wielki kłopot z karmieniem źrebaka: sutki młodej klaczki były jeszcze obolałe — a laskonogi głuptas przysadzał się do matki zupełnie obcesowo, uderzał raz — po — razie w brzuch i ciągnął z niej pokarm, aż miło!...

Rozrzewnialiśmy się wtedy nad poczciwością klaczy i siłą macierzyńskiego instynktu. Przestępowała chwilami z nogi na nogę, postękiwała na-

wet cicho i tuliła po sobie uszy. Ale na uspokajające:

— No, no, głupia...

Stawała się znowu potulna i łaskawa dla swego utrapionego potomka.

Franciszek kiwał głową:

— Będzie go kochała!

A żrebaczek, za całą wdzięczność, napiwszy się jak bąk, trzepnął zadem swą macierz, aż się w stajni rozległo...

.

Przypomniałem Lali tę scenę. Zaśmiała się cicho:

— A bo, rzeczywiście, Stachu — czy jest narazie między nami różnica? Żadnej!

Przeniesiono następnie naszego ordynata do sypialni. Popiszczał troszeczkę. (Ja miałem wypieki; teściowa była dziwnie spokojna; kamienna kobieta!) — i usnął znowu.

Dnia tego Lala po raz pierwszy siedziała z nami przy stole.

Podziwiałem jej apetyt. W głowie mi się nie może pomieścić, że istotnie musi jeść za dwoje: za siebie i za małego.

— Nasz syn!

Waży obecnie 10 funtów. Fenomenalna waga, jak twierdzi teściowa...

Poszedłem po obiedzie do kredensu i kazałem odważyć sobie... 10 funtów cukru. Posłałem to potem dla niepoznaki na folwark: Wickowa trochę słabuje. Nikogo to z fraucymeru nie zdziwiło — cukier, albo wino — i nikomu się nie przyznałem do istotnej przyczyny manipulacji gramami...

— Co tu owijać w bawełnę! Nie mam jeszcze odwagi wziąć na rękę dziecka — i pewnieby mi go nie dali... Więc chciałem sobie uzmysłować dokładnie, jak to wygląda..

— Ha! Dziesięć funtów! To nie żarty! Odrazu znać zdrowego i silnego ojca !

No, i wogóle, dobrą krew!

.

A wieczorem, w najściślejszem gronie rodzinnem — radziliśmy nad tem, jak Małemu będzie na imię.

I tu nareszcie raz zwyciężyłem.

Walczyli ze sobą o lepsze: Jerzy, Stanisław, Jan, Piotr, Zdzisław, Władysław...

— Przeszedł Jędrzej! Względnie: Andrzej! Małutkiemu będzie Jędrzek, Jędrus, Jędruchna...

— Czy nie ślicznie?

Marychna wpadła w entuzjazm i wyściskała Lale.

Matka mojej żony rozłożyła ręce:

— Przyznam ci się teraz, że chciałam koniecznie mieć Jurka, bo to śliczne imię i przypomina mi twojego dzielnego dziada, Jerzego Lipowskiego... Ale może i lepiej, że ochrzczicie go Andrzej. Imię Jerzy jest podobno nieszczęśliwe...

A Lala powiedziała mi na dobranoc, całując mnie serdecznie i długo:

— Jędrus będzie dobrym, mądrym i ładnym—
prawda?

XXII.

Wydał się dziś sekret nagłego przyjazdu Marychny; wydały się wogóle wszystkie sekrety...

Tak jakoś wynikło z rozmowy obu Pań.

— ...Pisałaś mi o tem, Lalu, w trzecim twoim liście.

-- Kiedy kochana?

— Daty dokładnie nie pamiętam. Ale wiem, że byłaś wtedy bardzo biedna i miałaś najczarniejsze myśli... Poczekaj! To musiało być mniej więcej w połowie czerwca: pamiętam, że dostałam twój list na wyjeździe z Paryża, kiedy Broniewscy już wybierali się nad morze.

— Możliwe...

W tej chwili obie panie spojrzały nagle na mnie i zmieszały się okropnie. Zmieszałem się i ja. Usiłowałem jakoś wybrnąć, bo zapanowało dość kłopotliwe milczenie. Zacząłem o czymś opowiadać ze sztucznem ożywieniem; wobec tego jednak, że panie zrobiły to samo, spiętrzył się odra-

zu istny zator skwapliwości i obustronnej elokwencji, co w rezultacie dało znów sekundę zenującej ciszy.

Marychna skorzystała z jakiegoś pretekstu i oddaliła się szybko.

Zapytałem Lale:

— Korespondowałyście ze sobą?

Odpowiedziała mi:

— Tak, Stasiu — i oblała się rumieńcem.

.

Żona moja wzięła w swoim czasie do serca mój gorzki wyrzut, uczyniony jej z powodu wyjazdu Marychny. Zwłaszcza cierpką uwagę, że Marychna wyjechała w świat, zmuszona do tego okolicznościami materialnemi. Widzi Bóg — jeżeli wówczas ktoś miał prawo robić na ten temat uwagi albo czynić wyrzuty — to, oczywiście, nie ja...

Lala postąpiła jednak po swojemu. Tak, jak to ona potrafi! W sekrecie przede mną, w sekrecie przed teściową, zapominając o swoim żalu — a raczej, tłumiąc ten żal — pierwsza zwróciła się listownie do kuzynki i prosiła ją, żeby zaraz, jak tylko spełni swe zobowiązania w stosunku do Broniewskich, wracała do Lipowej.

Marychna odpowiedziała bardzo serdecznie, ale odmownie.

Wówczas Lala posłała jej drugi, trzeci, czwarty list...

Pewnych drażliwych momentów nie poruszała, pewnych przykrych chwil nie dotykała... Ale prosiła tamtą tak serdecznie, tak pocziwie i gorąco, że wreszcie Marychna zgodziła się do nas powrócić.

Traf zrządził, że przyjechała akurat w dniu, w którym się urodził Jędrus.

.

Są upokorzenia, które nie pozostawiają posmaku ciężkiej goryczy. Takie właśnie upokorzenie spotkało mnie z powodu nowego objawienia bezgranicznej dobroci i szlachetności Lali...

Przeszłość mojego stosunku do Marychny—(bo to już jest naprawdę PRZESZŁOŚĆ) — została ostatecznie rozgrzeszoną przez Lale. Nietylko przez nią: drugi anioł na tym padole ziemskim — Marychna — wzięła na siebie, jak się okazuje, całkowite odium moich ówczesnych. — — —

— Nie precyzujemy!

Dziewczyna oskarżała samą siebie o najokropniejsze rzeczy i przyznała się Lali, że ze mną flirtowała...

Ostatecznie, wybaczyły sobie obie — wybaczyły mnie — i ja o tem wszystkiem zupełnie nie wiedziałem, bo to się dokonało w najgłębszej tajemnicy...

.

Myślę, że jest tak:

My, mężczyźni, pchamy istotnie świat na jakieś nowe tory. Może nawet być, że ten i ów z pośród nas, naznaczony w kolebce przez dobrego Genjusza, wydobywa nieraz Mojżeszowym gestem źródła z litych skał—albo przebija natchnionem okiem chmury! Może być, że to my, mężczyźni jesteśmy na tej ziemi jedynymi fanatykami postępu. Że tylko my, mężczyźni, zdolni jesteśmy rozróżnić w wielkiej muzyce życia — zasadniczy motyw *N i e ś m i e r t e l n o ś c i*.

Ale poza tem — poza tem — — —

Najuboższa duchem kobieta uczy nas codziennie ewangelji prostej dobroci. I podczas, gdy poczynamy sobie zawsze prawie, jak ciężkie, niezwrotne słonie w magazynie weneckiego szkła—one, nasze żony, nasze matki, nasze kochanki, siostry, przyjaciółki — sklejąją cierpliwie cenne kryształy, potłuczone na miazgę przez nas, mężczyzn...

Dlatego — jeżeli może być w tych rzeczach jakieś „dlatego“ — dobrze byłoby, gdybyśmy, w targach o władzę moralną nad ziemią, opuścili cokolwiek z naszych wygórowanych żądań.

Żebyśmy, wygrawszy wojnę, albo wymyśliwszy jakiś szczególnie żrący gaz, zastanawiali się trochę nad fenomenem przeciwnej zgoła hierarchji — Miłością Bliźniego — i zajrzeli do pierwszej lepszej szkoły elementarnej, do pierwszego lepszego domu, w którym zaszczuty, zmordowany Cezar Borgia ma prawo rozplakać się, jak dziecko...

.

Jędrus o tem wszystkim nic jeszcze nie wie, bo jest maleńki.

Jędrus płacze w tej chwili, bo mu się prawdopodobnie chce jeść — a godzina posiłku jeszcze nie nadeszła. To trudno! „Panicz“ musi się przyzwyczajać do punktualności. Zresztą, powinien wiedzieć Jędrus, że skończyło się już „w Polsce — jak kto chce“ — i że matczyzna pierś nie jest na każde zawołanie.

Zwolennik ancien-regime'u, Feliks, patrzy na nas z ganku w niemej zgrozie.

— Bo jakżeż to! Mały płacze, a rodzice jego rozmawiają ze sobą spokojnie?

.
— Uspokój się, kochany stary! Uspokój się, Jędrusiu! Rodzice twoi nie są jeszcze całkowicie godni nowych czasów. I nie wychowują cię, niestety, na Forda, czy innego Dempsey'a!....

Lala rzuca na kołyskę dziecka spojrzenie — raz, drugi — waha się trochę — potem pyta się mnie:

— Która to godzina, Stasieczku?

Do uroczystej ustawowej godziny jedzenia pozostaje jeszcze całe piętnaście minut. Ale, ostatecznie, on jest jeszcze taki maleńki... Tak żałośnie płacze pod swoją białą budką...

Porozumiewamy się wzrokiem z Lalą.

Rozpromieniona, rozpina pośpiesznie luźne kimono — a ja, uszczęśliwiony, że mi przecież raz ten zaszczyt przypadł w udziale, biorę z kołyski drżącymi z emocji rękami mojego syna — i podaję go ostrożnie żonie.

Jeszcze chwileczka pisku i kwilenia — i robi się cicho.

Jędrus przypiął się do piersi Lali i ssie z zapalem.

Zdaje się nawet, że troszeczkę sapie...

XXIII.

— Dzieńdobry panu, panie Napiórkowski.

— Dzieńdobry panu dziedzicowi. Dzieńdobry pani dziedziczce!

Napiórkowski schyla się, otarłszy wąsy wierzchem dłoni, do ręki Lali, potem gniecie moją rękę w swojej kościstej łapie przez dobre „Zdrowaś”: wita się tak zawsze, gdy przychodzi z solenną wizytą, albo ma nam do zakomunikowania coś uroczystego.

Jakoż, chrząka.

— Proszę, niech pan siada, panie Napiórkowski.

— Dziękuję.

Rządca siada.

— Ja tu w misji nadzwyczajnej — zaczyna.

— Oho! Cóżto za misja?

— Kiedy — bo nie wiem...

— Słuchamy, kochany panie.

Napiórkowski robi obszerny i dosyć mętny

wstęp, potem przez pięć minut rozwodzi się nad ciężkim zawodem, jaki nam sprawił tegoroczny urodzaj, a zwłaszcza żyto — (Wierutna blaga, bo próbne omłoty wykazały, że doskonale sypie: około 14 — metrów z morga. Nigdy lepiej nie bywało!) — następnie zaś przechodzi na różne konflikty służbowe, poświęca jadłowitą glosę posłowi Kwapińskiemu, (synowi tygrysa i Antychrysta!) — a wreszcie, łąduje.

Okazuje się, że cała służba była w południe u pana rządcy i prosiła go, żeby nas prosił o zgodę na urządzenie dorocznych dożyneków.

Napiórkowski wyłuszcza ostatni passus głosem zupełnie zbołałym i konkluduje:

— ...Bo to oni zawsze — — —

Z trudnością udaje mi się zachować powagę. Pytam:

— I co też pan im odpowiedział?

Napiórkowski rusza srogo wąsiskami:

— Ano, zwymyślałem chamów, jak się patrzy, że im nic, tylko wódka i hopki w głowie, kiedy mamy latoś taki trudny rok, i we dworze, dziedzice dopiero co synka dostali — — —

— Hm.

— Ale, że się to strasznie hardo stawiało, a osobliwie dziewczuchy wprost odejść nie chciały

i podniosły straszny harmider, jak te żydy w szkole, więc powiedziałem, że zamelduję dziedzicowi. Choć coprawda, mała nadzieja, żeby przy tych kłopotach chciało się jaśnie państwu wyprawiać dla nich okrzężne!

— Tak im pan powiedział?

— Tak im powiedziałem.

— A oni co na to?

— Ano, nic. Czekają przed kancelarją.

Porozumiewam się wzrokiem z Lalą i mówię:

— Miał pan swoją rację, panie Napiórkowski, a oni swoją. Myślę, że im trzeba będzie zabawę wyprawić, bo najprzód dobrze się we żniwa starali, a potem, zwyczaj starodawny... Nie godzi się go bez ważnej przyczyny kasować.

Napiórkowski przybiera minę, którą my we dworze nazywamy „Tut-Ank-Amen“.

Jest dyplomatycznie układny — i wogóle, nieprzenikniony.

Kiwa głową, wstaje.

— To im odpowiem, proszę pana dziedzica.

— Tak, proszę. Że bardzo chętnie się godzimy i prosimy, niech tu przyjdą po zachodzie słońca.

— Słucham.

— Ale! Jeszcze jedno! Pan będzie łaskaw wyasygnować z kasy dominjalnej, ile trzeba, i pchnąć umyślnego do miasteczka. Niech przywiezie parę antałków piwa i wódki kilkanaście butelek.

— Słodkiej dla kobiet! — przypomina Lala.

— Tak. Słodkiej dla kobiet. Resztę już przygotowujemy sami. Prawda, Lalu?

— Naturalnie.

Napiórkowski wysłuchuje dyspozycji zlekka pochylony, przytakuje mi z niczem niezamąconą powagą, poczem mówi z prostotą:

— Pan dziedzic życzyłby posłać ogrodowe?

— A, dobrze.

— To... właśnie ogrodowe posłałem.

— Dokąd?

— A... właśnie, stosownie do dyspozycji. Po to piwo i po wódkę. Za małą godzinkę powinni by być zpowrotem.

Długi, szalony, niemilknący wybuch naszego śmiechu Napiórkowski przyjmuje ze zdziwieniem. Kłania się niezgrabnie i odchodzi pośpiesznie w stronę folwarku. Jest obrażony.

Śmiejemy się tak strasznie, że we wszystkich oknach dworu ukazują się twarze domowników.

— Ha, ha, ha, ha, ha!

Teściowa, zdumiona, wybiega na ganek i pyta się nas kilkakrotnie:

— Co się stało?

Śmiejemy się jeszcze bardziej.

Marychna zbiega z góry, przeskakując schody, sama już roześmiana, bo to przecież działa zaraźliwie.

Kiedy nareszcie, jako-tako uspokojeni, napół przez łzy i krztusząc się nieustannie, powtarzamy naszym paniom rozmowę z Napiórkowskim, dostajemy nowego napadu wesołości...

Śmieje się teściowa, Lala, Marychna, śmieje się i sam — Feliks, który słyszał, co opowiadaliśmy starszej pani i panience — a na końcu — wybucha grzmotem wesela kuchnia i kredens.

Zaczyna się pośpieszna, radosna krzątania. Lala sama, oczywiście, nie może tym razem biegać po spiżarniach i piwnicach. Zastępują ją wszystkie kobiety we dworze.

Gospodyni piecze nagwałt placki i chleby. Dziewczęta wydobywają pod okiem teściowej zapasy spiżarniane. Marychna mobilizuje ogrodników. Nie wiem, ile kóp ogórków, ile koszy wczesnych jabłek przynoszą do dworu — zdaje się jednak, że nasze miasteczko zapełniłoby tem wszystkie stragany na rynku... Cały zaciąg ogro-

dowy grabi i gracuje przed domem. Stelmach z dwoma pomocnikami zbija pod lipą długie stoły z półtorówek...

Niebawem zajeżdża przed wejście kuchenne wózek ogrodowy, zatrzymuje się dosyć wstydliwie i wyładowuje swą skoncentrowaną zawartość.

A jakże! Jest piwo, jest wódka, jest nawet jakiś osobliwy „Doppel-Kuemmel“ i niesłychana „Wiśniówka“ — dla dam, oczywiście.

— Les beaux esprits se rencontrent...

Nowa salwa śmiechu na cześć imci Napiórkowskiego!

.
A potem, po zachodzie słońca, w ślicznym sierpniowym zmierzchu, zaczynają dolatywać do nas skoczne, dalekie jeszcze hukania — wraz z towarzyszącymi im tonami muzyki...

Mocno i często bije bęben. Basetla buczy zawzięcie. Piskają niesforne skrzypce...

Zaczem, powolnym pochodem, otoczony nieprzebraną chmarą dziatwy, wkracza do ogrodu orszak żniwiarzy i idzie solennie przed ganek.

„Plon niesiemy, plon!“

Pieśń szanowna, dawna, jak Polską...

Ilekoć tę pieśń słyszę, ogarnia mnie jakieś dziwne, słodkie wzruszenie.

Zdaje mi się, że czuję na swych barkach wielki i postokroć kochany ciężar przeszłości.

Razem, w pełni mej młodości, uświadamiam sobie nierozzerwalny związek ze wszystkimi sprawami mojej polskiej ziemi — i kocham tę ziemię stokroć mocniej.

Stoimy z Lalą na ganku, obok siebie, przytuleni ramię do ramienia.

Witamy żniwiarzy dobrem słowem.

A potem zdejmujemy z głów przodownic ciężkie, pachnące wieńce...

.
„Przed dworem biały kamień,
nasza Pani siedzi na nim“!

— Jakich piosnek nam nie śpiewają. Jakich potem okolicznościowych dowcipów nie układają!

Po odśpiewaniu sakramentalnego powitania, po wyczerpaniu obrzędowego, naiwnego repertuaru, wysila się płeć piękna na niesłychane aktualności.

Więc: jest tam przedewszystkiem, oddany w rozmaitych warjantach, radosny fakt narodzin

Jędrusia — pochwała dla naszego zgodnego pożycia i — życzenia kopy dzieci...

Potem, jeszcze o Jędrusiu, bardzo sprytny żart, że wiedział, co robił, zjawiając się w same żniwa: bodajby nie zaznał przednówka...

Potem, o mnie, na różne warjanty: wszystko, oczywiście, strasznie pochlebne, jak każe zwyczaj.

Potem o Lali jeszcze, siarczyste komplementy.
O starszej pani.

I o Marychnie.

I o panu rządcy, że „Do dziewuch oknem wla-zi“ (Śpiewają to Napiórkowskiemu niezmiennie od kilkudziesięciu lat — a on, nieborak, zawsze w tem miejscu spluwa i mruczy: „Obraza bo-ska!...“)

Dostaje się gospodyni, pannie służącej, nie wie-dzieć czemu, awansowanej na „gubernantkę“, ekonomowi, pisarzowi, włodarzowi...

Stara wyga, Szczepańska, baba dziobata i nad podziw wyszczekana, wdowa po dwóch mężach, teraz komornica, podpowiada dziewczętom coraz to nowe dowcipy, kuplety, przyśpiewki...

Wreszcie, ucałowany gorąco w obie ręce, mi-mo moich protestów, tego dnia zupełnie niesłu-chanych, uczczony feodalnie — rozpoczynam ta-

ny z pierwszą przodownicą, potem z drugą, potem dostaje się w łapy Szczepańskiej i dziwie się w duchu, skąd się tyle siły bierze w tem suchem cielem...

Kapela różnie od ucha. Im fałszywiej, tem głośniej — im głośniej, tem fałszywiej.

Wszystko tańczy!

Ochota wzbiera jak rzeka.

Małe skrzaty płaczą się pod nogami starszych, i objawszy się wpół, warjują z uciechy.

Jakiś siedmioletni, a może nawet sześćioletni bąk, który się przyprowadził przed ganek w ojcowej czapie, spadającej mu na oczy, wytańcowuje sam jeden. Czyni to z powagą, bo wie, że go dziś nikt do domu nie przepędzi...

.
A potem, gdy się już wszyscy napili i najedli, gdy dziewczęta, pocertowawszy się trochę, przepiły ze mną raz i drugi ową „słodką“ — odwracając wstydliwie głowy — zaczęła się zabawa na dobre.

Lala przeprosiła starszysznę, wskazując na niedawną słabość, i weszła do domu, żeby się położyć. Zresztą, dożynki dożynkami — a Jędrus Jędrusiem,

Poszły za nią kobiety, co starsze — niepodobna było im tego odmówić — obejrzyć małego.

Pani pisarzowa, pani ekonomowa, no i — oczywiście — Szczepańska.

.

A ludzie nasi, szczególnie młodzież, hasali przed domem do upadłego. Marychna nie mogła odpocząć: co usiadzie, już stoi przy niej który z parobczaków, całuje w rękę jaśnie panienkę, kłania się pięknie — i prosi do tańca...

Podniósł się przed domem wielki tuman kurzu, zasłaniając tańczących.

Muzykanci zasię różnili od ucha oberki, kujawiaki, polki, sztajery — aż im się wreszcie same instrumenty zestroiły, towarzysząc tej siarczystej zawierusze!

XXIV.

Idziemy we dwoje polną, wąską drogą, biegnącą między dwoma szlakami.

Z prawej widnieje na świeżo podoranem rżysku rząd stogów; z lewej — na żółknącym już polu kartoflanem, opierającym się o las — zaczęto wykopki.

Niebawem zajdzie słońce.

Zachód obłany jest w tej chwili amarantową, spokojną łuną.

W powietrzu drżą pierwsze nitki „babiego lata“.

.

Przed nami — może o jakieś pięćdziesiąt kroków — biegnie nieśpiesznie szare stadko kuropatw.

Starka prowadzi swą młodzież, zabiegając raz z jednej, to znów z drugiej strony.

W pewnej chwili, na znak, dany przez nią, zrywa się cała rodzina — sunie kilkaset kroków, jak grad drobnych, szarych pocisków, furczących nad polem — i zapada w kartofle.

Jesteśmy teraz zupełnie sami.

Zostawiliśmy za sobą ludzi, schodzących z roboty, gościniec, rozbrzmiewający o tej porze porykiwaniem bydła, pędzonego do obór i naszcze-kiwaniem psów pastuszych.

Oddałyśmy się coraz bardziej od domu.

Lala tuli się do mnie nagle.

Patrzymy sobie długo w oczy.

Niebo szybko ciemnieje...

— Możebyśmy już wracali, Stasiu?

Głos jej brzmi ciepło i leniwie. Wiem, że jest jej ze mną dobrze.

— Jeszcze trochę.

— Kiedy, widzisz, Jędrus.

— Prawda!

Waham się przez sekundę.

— Wracajmy.

Lala robi ze mną kilka kroków, staje.

— Nie gniewasz się na mnie?

— O co, kochana?

— Że się śpieszę do małego...

— Lalu!

Zarzuca mi ręce na szyję, całuje tkliwie i gorąco. Oddaję jej pocałunki gwałtownie, coraz gwałtowniej. Długo tłumiony żar zalewa mi piersi.

Och, jakże mocno biją w tej chwili nasze serca!

.
Już ciemno...

— Lalu?

— Co?

— Czy to jest bardzo dziwne, gdy się ma romans... z własną żoną?

(Och, jak mi gorąco!).

— Nie wiem...

Lala opiera się teraz na mnie całym ciałem. Szepce mi do ucha cichutko:

— Właściwie... Dziwne jest... jeżeli jest inaczej...

Czeka chwilę i pyta:

— Nieprawdaż, Stasiu?

Odpowiadam:

— Tak!

KONIEC.













25/801/5787

480, —

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000087539



I 747326

XX